NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. Kraków, 1 lipca 1916. Nr. 27.

Nowe zwycięstwa Legionistów.



Grupa jeńców rosyjskich, wziętych do niewoli przez czwarty pułk Legionów polskich w dnin 7-go czerwca r. b.

Od Wydawnictwa.

„Nowości Illustrowane“ były jedynem pismem, które pomimo niezwykłej drożyzny wszystkich materyałów, niezbędnych do wydawnictwa, nie podniosły dotychczas prenumeraty. Dziś jednakże, gdy **ceny papieru, chemikaliów, farb drukarskich i t. p. podskoczyły o 200 do 500 prc.** — utrzymanie dawnej ceny pisma okazało się wprost niemożliwem. Ażeby choć w części pokryć koszta wydawnictwa, co jest koniecznym warunkiem jego rozwoju, zmuszeni jesteśmy

z dniem 1-go lipca r. b. podnieść prenumeratę,

która odtąd wynosić będzie:

kwartalnie 5 K., półrocznie 10 K., rocznie 20 K., a cena pojedynczego numeru 40 hal.

Zwracamy przytem uwagę, że prenumeratę na następny III-ci kwartał należy już nadsyłać według nowej normy i że już od przyszłego numeru cena pojedynczego egzemplarza wynosić będzie 40 halerzy.

Zawiadamiając o tem naszych P. T. Prenumeratorów i Agencye, mamy niepłonną nadzieję, że najszersze koła naszych Czytelników nie tylko uwzględnią to podwyższenie prenumeraty, tak nieznaczne w stosunku do wzrastającej z każdym dniem drożyzny, ale ocenią należycie nasze dobre chęci wobec faktu, że dopiero teraz podnosimy prenumeratę, podczas gdy wszystkie inne pisma uczyniły to już dawniej.

Celem ułatwienia P. T. Prenumeratorom nadsyłania przedpłaty na rozpoczynający się trzeci kwartał bieżącego roku, do numeru niniejszego dołączamy czeki pocztowej Kasy Oszczędności.

Nowe zwycięstwa Legionistów.

(Do illustracyi tytułowej).

Jeszcze nie przebrzmiały tony podniosłego nastroju uroczystości czwartackiej, o której niedawno pisaliśmy, a już po kilku dniach wypadło Czwartakom przetrzymać ogień artyleryi nieprzyjacielskiej, współdziałającej z ogólnym atakiem na front wołyński, odeprzeć kilka ataków piechoty, przechodząc do kontrataków. Akcya, rozpoczęta nocą z 6-go na 7-go czerwca trwała przez dni następne z niesłabnącą intenzywnością. — Zanim będzie czas i możność ująć ją w całość, podajemy na razie radosną wiadomość, iż Czwartacy odparli wszystkie ataki, wspomagając dzielnie mocno zagrożonych na lewem skrzydle Madziarów, wzięli też kilkudziesięciu jeńców, pozostawiając masy zabitych na przedpolu (między innymi sztabskapitana z 306 pułku piechoty rosyjskiej Szwiekowa), oraz zabierając ze sobą wielu rannych Moskali, sami zaś mając minimalne straty. Pułkownik Roja sam przebywał na odcinku w czasie silnego ognia artyleryjskiego, ażeby akcyą natychmiast kierować na miejscu. Duch wśród żołnierzy, dawno już na ostatnich pozycyach wyczekujących bitwy — wprost entuzyastyczny. Pułki, które odrzucił pułk czwarty, już po raz trzeci spotykają się z Legionami. Są to 306 i 307 p. p., z którymi bili się nasi pod Zieloną (1914) i pod Kołkami (1915), co sobie dobrze zapamiętały, jak to sami jeńcy zeznają. Załączamy fotografię pierwszej grupy jeńców wziętych przez czwarty pułk dnia 7-go czerwca.

J. K. T.



Tarcza Legionów w Tarnowie: Uroczystość odsłonięcia tarczy.

Tarcza Legionów w Tarnowie.

Wyrazem sympatyi i opieki, jaką otacza społeczeństwo polskie Legiony, są między innemi fundowane w rozmaitych miastach galicyjskich tarcze Legionów, z których dochód przeznaczony jest na legionowe cele humanitarne. Do miast, które złożyły już ten hołd i ofiarę Legionom przybył w ostatnich czasach Tarnów. Odsłonięcie tarczy odbyło się tam bardzo uroczyście w obecności przedstawicieli miasta, N. K. N. i licznej publiczności.

Illustracya nasza przedstawia uroczystość odsłonięcia tarczy podczas przemówienia burmistrza miasta Tarnowa posła dr. Tertila.

W rocznicę Rokitny.

W dniu 13 czerwca r. b. minął rąk od pamiętnej szarży ułanów rotmistrza Wąsowicza pod Rokitną. Zginął wówczas bohaterską śmiercią komendant, poległo wielu jego towarzyszów, ale wieść o bohaterskiej szarży rozeszła się po całej Polsce i żyje w pamięci narodu.

Z powodu rocznicy uczestnik szarży, por. st. Rostworowski, zamieścił w „Wiadomościach Polskich“ wspomnienie, w którem między innemi pisze:

„Okopy, które brali rok temu szablami, dymią się wciąż jeszcze od rosyjskich strzałów. W ciągu tego roku milczały one tylko trzy dni — a było to wówczas, gdy składaliśmy zwłoki Rotmistrza do grobu i gdy równocześnie druga brygada Legionów wdarła się w głąb Bessarabii. Potem wojna wróciła znów na pola między Rokitną a Rarańczą i do dzisiejszego dnia trwa tam wciąż wielka bitwa z rosyjską przemocą.



W rocznicę Rokitny: Groby poległych pod Rokitną Legionistów na cmentarzu w Rarańczy.



Austryacki okręt szpitalny „Wien".



Z wojny: Albańscy ochotnicy zgłaszają się w Durazzo do wojska austro-węgierskiego.

Pieśń armat kołysze do snu od roku — dzień i noc — mogiły kresowych rycerzy.

W ciągu tego roku doszła nas wiadomość o śmierci dwóch jeszcze uczestników szarży. — W czerniowieckim szpitalu z ran wówczas otrzymanych ułan Bazyli Janiszyn, a w dwa tygodnie później w wojennym szpitalu rosyjskim w Czerkasach zmarł z ran ułan Władysław Scibor Sierhiejewicz. Owczesny wachmistrz, tymczasem mianowany chorążym, Zygmunt Jagrym, wrócił przy wymianie jeńców-inwalidów po półrocznej niewoli rosyjskiej z przestrzeloną ręką i amputowaną nogą, do kraju. Rany wówczas odniesione nie zagoiły się do dzisiejszego dnia".

Na dzień rocznicy miała wyjechać z drugiego pułku ułanów — do którego dziś drugi szwadron imienia Dunin-Wąsowicza należy — deputacya do Rarańczy. Wobec gwałtowny walk na tym froncie, okazało się to niemożliwem.

Komenda Legionów rocznicę Rokitny uczciła następującym rozkazem:

„Wśród kurzawy nieustannych walk z dziedzicznym wrogiem Ojczyzny i kultury święcić Wam wypadło dzisiaj pierwszą rocznicę sławnej szarży II szwadronu ułanów Wąsowicza na poczwórne okopy moskiewskie pod Rokitną.

Rok pełen treści dzieli nas od onej chwili rycerskiej ofiary, gdy komendant i wszyscy szeregowcy



Ze wschodniego frontu: W okopach.

walecznego oddziału, posłuszni rozkazowi, szli na niebezpieczną wyprawę z oddziedziczonym po praojcach impetem i siłą; część zaledwie drobna szwadronu pozostała przy życiu — reszta pokotem legła, niby wał ochronny wobec barbaryi wschodu.

Legenda żołnierska opiewa czyn Wąsowicza i towarzyszy jako Samosierrę; takim pozostanie on w pamięci wdzięcznych pokoleń, świadcząc o niewygasłej tradycyi.

Pamięć rycerzy tylko rycerskim czynem czcić można i dlatego w rocznicę Rokitny najdogodniej cześć oddacie pamięci poległych, kontynuując ich ofiarną walkę o honor i przyszłość, aż do zgniecenia wroga.

Pokłon poległym — cześć żywym uczestnikom Rokitny!"

Ze szpitalnictwa wojskowego.

Jednym ze szpitali rezerwowych w Galicyi, który od początku wojny znajduje się prawie ciągle w blizkości frontu, jest szpital sanocki. — Nad brzegami Szczary, której przejścia przez dwa tygodnie napróżno broniły wojska rosyjskie przed kroczącą zwycięzko naprzód armią v. Kövesa, jest położony klasztor, przez królów polskich zbudowany. W klasztorze tym jest obecnie urządzony szpital rezer-





Z pobojowiska gorlickiego:

Uszkodzony pociskiem pomnik powstańców 63 r. na cmentarzu gorlickim.

Zburzony dom na rynku w Gorlicach.



Legioniści przy pracy oświatowej: Pierwsza lekcya w polskiej szkole na Wołyniu

wowy sanocki — a raczej sanatoryum. Klasztor sam, zbudowany w XIV. wieku, wraz z kościołem do roku 1860 zajmowali O. O. Bazylianie. W 1860 roku Moskale zakonników bądź wywieźli na Sybir, bądź rozpędzili po okolicy, a klasztor oddali mnichom prawosławnym.

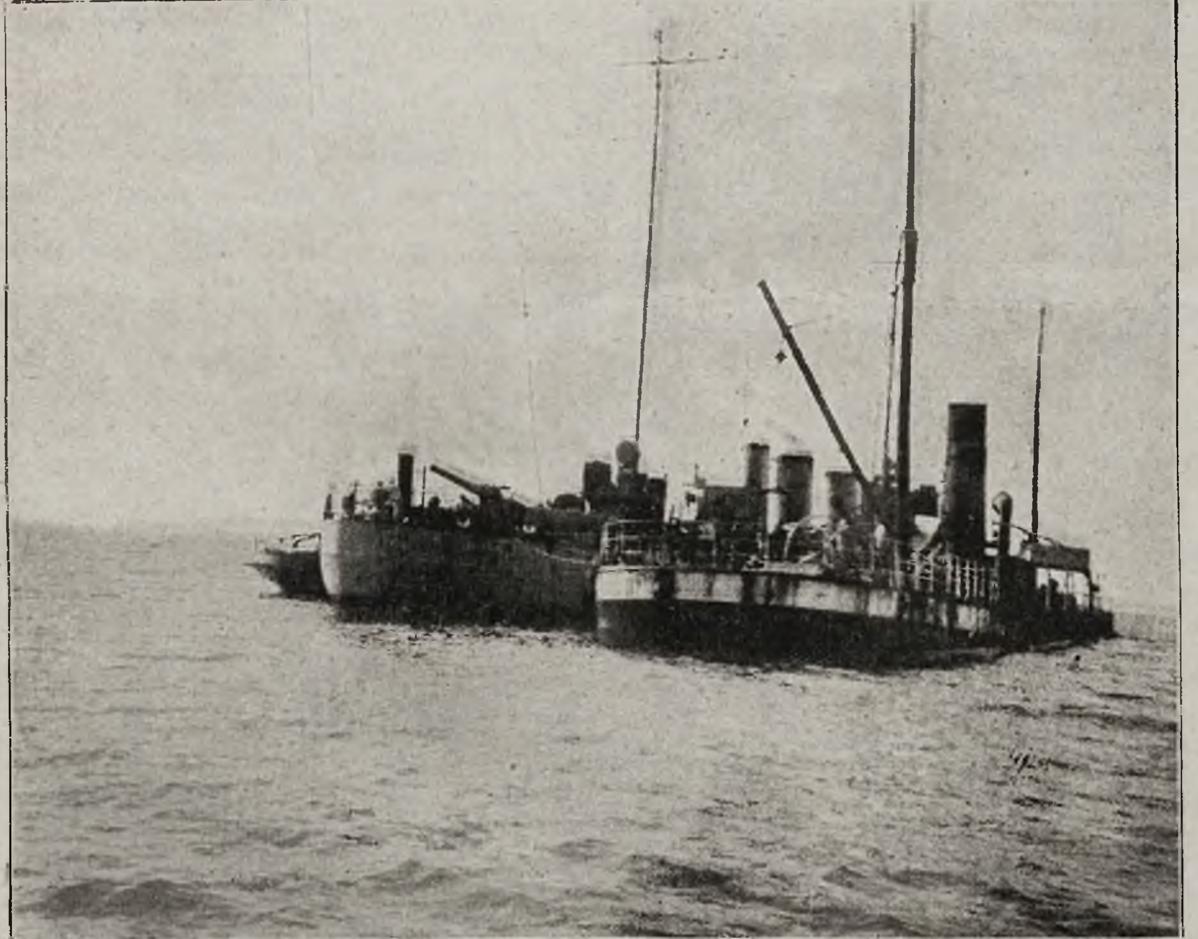
Niestrudzony w pracy i pełen troskliwości o dobro swych pacyentów starszy lekarz sztabowy dr. v. Karacson urządził ten szpital rzeczywiście na wzór nowoczesnego sanatoryum. Oświetlenie elektryczne, kąpiele słoneczne, leczenie światłem lamp elektrycznych i znakomita kuchnia — są dla żołnierzy, którzy tygodniami w bagnistej okolicy Szczary w rowach strzeleckich przebywali, prawdziwem źródłem zdrowia.

Na dużym dziedzińcu urządzone są kąpiele piaskowe — obok zaś hala dla zabiegów hydropatycznych. Lekarze specjaliści kierują poszczególnymi oddziałami — a sala operacyjna jest według najnowszych doświadczeń chirurgii wojennej urządzona. Zaprowiantowanie, mimo trudności dowozu (gdyż okolica, jak cały szlak, którym cofali się Moskale, jest zniszczoną), nie pozostawia nic do życzenia.

Personal szpitalny, prócz lekarzy i zawodowych pielęgniarek, stanowią w znacznej części żołnierze ze stron sanockich i przemyskich.



Ze wschodniego frontu: Walka z trującymi gazami w okopach pułku p. (X) Krakowian jednoroczny ochotnik Karol Wójcik.



Z wojny: Włoski okręt „Mixaha", zatopiony przez austryacką flotyllę w porcie Durazzo na płytkiej wodzie Obok austryacki kontrtorpedowiec „Balaton".

Z pobojowiska gorlickiego.

Choć przeszło rok już minął od pamiętnej bitwy pod Gorlicami, która była punktem zwrotnym w obecnej wojnie, nie znikły jeszcze ślady tych tytanicznych bojów, które wsie i miasta zamieniły w gruzy. Gorlice, które się stały jakby „bramą zwycięstwa", dziś jeszcze świecą gołemi murami i ruinami... W szeregu poprzednich numerów zillustrowaliśmy już to pobojowisko gorlickie, ale wszystkie te fotografie, przedstawiające poszczególne momenty zniszczenia, nie dają całości ponurego obrazu. Uzupełniamy więc je nowemi zdjęciami, z których każde — to fragment dramatu, jaki przeżyły Gorlice...



Ze szpitalnictwa wojskowego: Gmach sanockiego szpitala rezerwowego.



Z pobojowiska gorlickiego: Gmach gimnazyum w Gorlicach

ADAM WIARYGA MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

12

— Ależ pogodzicie się, pogodzicie — mówiła rozweselona trochę Anielka, zapominając w ciągu tej rozmowy na chwilę o swoich dręczących myślach — Zobaczysz, że lada dzień przeprosi cię...

— O! To go nie znasz!... On mnie nigdy nie chce przeprosić — taki uparty! Zawsze ja muszę zrobić pierwszy krok do zgody, ale już najgorszy, to ten list od tatusia...

— Cóż tak złego pisze twój ojciec?

— Ktoś doniósł tatusiowi wszystko o Konradzie, tylko to musiał jakoś strasznie opisać, bo mnie tatuś nazywa wyrodną córką, hańbą rodziny, złą, zepsutą dziewczyną... Tatuś pisze, że przyjedzie do Pragi zrobić porządek ze mną... Mój Boże! Co się ze mną stanie? Przecież ja nic złego nie zrobiłam... Czy to mnie nie wolno kochać się?... Mania, Tosia Bielińskie z rozmaitymi chłopcami chodzą, a nikt im nic nie mówi, dlatego, że są tutaj z matką...

— No, Józiu, ty trochę za mało uważasz na pozory, a tem więcej powinnaś strzedz się, ponieważ jesteś bez jakiejkolwiek opieki starszej osoby... Powiedz sama, czy należało jechać samej z panem Zarnickim statkiem na wycieczkę...

Józia milczała ze spuszczoną głową, uznając widocznie słuszność tej wymówki. Po chwili szepnęła:

— Taki był piękny dzień, aż coś rwało człowieka za miasto, a Konrad tak prosił...

— Powinnaś więcej dbać o swoją opinię — strofowała Anielka — No, ale zanadto się nie martw, opowiesz ojcu szczerze wszystko, jak było i cała sprawa szczęśliwie się skończy... Ojciec nie będzie przecież zważał na jakieś niegodziwe plotki.

Anielka domyśliła się, że Zerwanówna wykonała swoją groźbę i napisała list, prawdopodobnie anonimowy, do pana Maliniewicza, ojca Józi.

Dalszą rozmowę przerwał pannom Montwiłł, który wchodząc już od progu wołał:

— Panno Anielo, porywam panią... Śliczny dzień dzisiaj, ciepło, jasno, słonecznie... Przejdziemy się trochę... Pani trzeba powietrza, a i tak w kuchni niema teraz nic prawie do roboty... Panna Józia da sobie sama radę, prawda?

— Ależ naturalnie — potwierdziła Józia — niech Anielka idzie na spacer... Ona taka bledziutka...

— Najlepsza panno Józiu — zawołał wesoło Montwiłł, podając Józi wiązankę fiołków — proszę przyjąć te fiołki w dowód wdzięczności za zwolnienie panny Anieli. A żeby się pani nie nudziła, przyślę pani towarzysza... Namówię Zarnickiego, żeby się już raz zdecydował wstąpić w progi „kuchni“, bo od godziny krąży koło kamienicy i zastanawia się: wejść czy nie wejść?

Józia spłonęła silnym rumieńcem.

— — — — — — — — — — — — —

Montwiłł usiłował wesołymi żartami, pełnemi humoru opowiadaniami, dowcipnemi uwagami wywołać uśmiech na bladej, smutnej twarzy Anielki. Pozwalał sobie nawet na trochę złośliwości, krytykując dowcipnie spotykanych przechodniów.

Z rozmysłem unikał wszelkich tematów, któreby mogły nasuwać jakiekolwiek smutne refleksye, bolesne wspomnienia...

A kiedy na ustach Anielki ukazywał się leciutki uśmiech, ciepła fala radości zalewała mu serce.

Może przecież uda mu się rozweselić ją, wyrwać z tego błędnego koła wspomnień o narzeczonym, może...

Dalej Montwiłł nie śmiał jeszcze marzyć...

Pragnienia jego na razie ograniczały się do tego, aby ją zabawić, zająć, aby odwracać jej myśli od przeszłości.

W pani Krystynie miał gorącą zwolenniczkę. — Ciotka błagała go, aby jak najczęściej towarzyszył Anielce i nie pozwalał jej zatapiać się w ponurych myślach.

— Drogi panie Stanisławie — mówiła pani Wolska — niech pan nie odstępuje tej dziewczyny, niech pan stara się ją rozweselić, bo doprawdy obawiam się, że wstąpi do klasztoru albo... pójdzie na uniwersytet! Niech pan sobie wyobrazi, że się już zapoznała z jakiemiś studentkami i nakupiła mnóstwo rozmaitych podręczników... No! Tego by mi jeszcze potrzeba! Moja Anielka studentką! A ja niestety nie mogę teraz wiele zajmować się nią, bo szpitale pochłaniają mi tyle czasu! Teraz Wielkanoc się zbliża, muszę myśleć o „święconem“ dla moich biedaków...

Montwiłł skwapliwie wykonywał polecenie pani Krystyny i jak tylko mógł najczęściej szukał towarzystwa Anielki.

Anielka widziała te usiłowania młodzieńca i była mu wdzięczna za nie. I ona niekiedy odczuwała konieczność wyrwania się z koła swoich wspomnień, zdrowa jej młodość buntowała się czasem przeciwko temu smutkowi, narzuconemu przez nieszczęście.

Anielka czuła, że stanie na progu obłędu, jeżeli ciągle myśleć będzie o Kazimierzu, starała się więc sama zająć myśli czemś innem.

Czytała dużo w „kuchni“ i ochronce, pracowała więcej niż zwykle — tylko do szpitali chodzić z ciotką nie chciała, bo ranni żołnierze przypominali jej nazbyt żywo Kazimierza.

Wogóle widok żołnierskich muudurów sprawiał jej przykrość, bladła, kiedy zobaczyła na ulicy postać żołnierza.

Ogarniała ją wtedy rozpacz i jakiś szalony, bezrozumny gniew, że ci wszyscy żołnierze żyją, chodzą i piszą do swoich blizkich lub widują się z nimi.

— Tylko mojego Kazia niema! Tylko jego niema! — powtarzała sobie, zapominając, że jej los podziela wiele innych kobiet.

— — — — — — — — — — — — —

Park, do którego weszli Montwiłł z Anielką, rozbrzmiewał świergotem ptaków i gwarem głosów dziecięcych.

Świeża zieleń zaczynała już okrywać drzewa i krzewy i tryskała aksamitem trawników. Kwiatów jeszcze nie było, ale zapobiegliwość zarządu parku uprzedziła porę rozkwitania, tworząc sztuczne barwne kobierce kwietne z doniczkowych hacyantów, krokusów, tulipanów.

Powietrze przesycone było silną, jakby cieplarnianą wonią hyacyntów.

Anielka z pobłażliwym jakimś uśmiechem spojrzała na ten park miejski w przedwiosennej szacie.

— Co za nędzna imitacya przyrody! Jakże inaczej wygląda teraz na wsi, na naszej polskiej wsi. Tam wszystko pachnie, oddycha wiosną... A tutaj... No tak, ludzie wiedzą z kalendarza, że teraz wiosna, a uświadomią sobie w całej pełni dopiero wtedy, kiedy na targu pojawią się nowalie, a na głowach kapelusze słomkowe...

— Przez litość, panno Anielo, nie tak surowo! — zawołał wesoło Montwiłł — Wszak i tutaj ludzie czują wiosnę. Wszystko zaś jedno, jak i czem ona do nich przemawia: czy zapachem świeżo zoranej ziemi i runią bujnie wschodzących zbóż — czy bladą zielenią chorowitego drzewa miejskiego, bukiecikiem fijołków lub też nawet nowalijkami na targu jarzynowym i owocowym... Niech pani patrzy na te rozbawione dzieci, one nie filozofują o wiośnie, nie porównują — ale czują ją, cieszą się nią... Panno Anielko, proszę się stać na chwilę dzieckiem, nie myśleć, nie rozumować, tylko cieszyć się, że na świecie jest znowu tak ciepło i ładnie...

Ostatnie słowa wymówił miękkim tonem prośby, w której zadźwięczała taka nuta czułości, że lekki rumieniec zabarwił bladą twarz Anielki.

Domyślała się ona już teraz uczuć Montwiłła dla siebie i była mu wdzięczna za to, że nie występował wyraźuie w roli zakochanego czy konkurenta.

W ten sposób bowiem mogła przebywać często w jego towarzystwie, prowadzić z nim długie rozmowy, które ją odrywały od czarnych myśli, nie uchybiając w niczem swej miłości dla Kazimierza i pamięci o nim.

A Anielka szczerze przyznawała się do tego przed sobą, że polubiła Montwiłła.

Podobała się jej jego twarz o pięknych, szlachetnych rysach, zajmował ją żywy i jak się przekonała, głęboki umysł młodzieńca, ceniła w nim naturę prawą i delikatną, która odczuwała...

Nieraz przychodziło jej przez myśl:

— Gdyby Montwiłł i Kazimierz znali się, to napewno byliby przyjaciółmi...

O tem, że te częste widywania się i rozmowy mogą podsycać miłość Montwiłła i budzić w nim jakieś nadzieje — nie myślała coprawda. Sumienie miała spokojne, nie kłamała przed nim, nie łudziła go niczem — a obecnie zanadto była zgnębiona i znękana, aby odtrącać przyjaźń sympatycznego jej człowieka.

Ten ton, jaki usłyszała teraz w głosie Montwiłła, zaniepokoił ją i zmieszał trochę.

Nie odpowiadając, poczęła rozglądać się po parku.

— Widzi pan — rzekła po chwili — tam koło wodotrysku jest wolna ławka. Usiądźmy, czuję się trochę zmęczona.

Usiedli.

Anielka z uśmiechem przyglądała się dzieciom, bawiącym się pod opieką matek lub nianiek.

Dzieciaki biegały, goniły się z głośnym tupotem swych małych nóżek, szczebiotały jak ptaszęta, kruszyły bułki i ciastka dziwnie łagodnym, niepłochliwym szpakom i kosom, spacerującym poważnie i spokojnie po trawniku.

Mały jasnowłosy chłopczyk z ładną, śmiałą, zuchowatą buzią ustawiał tuż obok ławki, na której siedziała Anielka, ołowianych żołnierzy i naprzeciw nich blaszane armatki. Co jakiś czas wykrzykiwał po polsku:

— Laz, dwa, ci...

Widocznie bawił się w „wojnę“.

Jedna armatka, targana jego niecierpliwemi rączkami, zepsuła się. Chłopczyk zwrócił się o pomoc do swej opiekunki niańki.

— Niania, naplaw almatę...

Ale służąca, zajęta żywą rozmową ze swoją sąsiadką, odsunęła dziecko.

— Daj mi spokój, Heniu, nie nudź. Dzieci mają się bawić grzecznie i nie przeszkadzać.

Henio ściągnął buzię do płaczu i rozejrzał się bezradnie wokół ze swoją zepsutą zabawką w rączce.

Spojrzenie dziecka spotkało się z oczami Anielki. Chłopczyk nagłą ufnością zdjęty, podbiegł do niej śmiało:

— Pani, naplaw almatę!

Rozweselona, spełniła to żądanie. Wzięła z rąk dziecka armatkę i zaczęła ją naprawiać. Ponieważ budowa zabawki była bardzo prosta, można to było zrobić z łatwością.

Anielka miała już oddać naprawione cacko dziecku, kiedy nagle spojrzenie jej padło uważniej na armatkę. W tej chwili dopiero uświadomiła sobie, co właściwie wyobraża ten kawałek blachy, czego jest symbolem.

Spojrzała na jasną twarzyczkę Henia, na jego drobne rączęta i zatrzymała rękę.

Gwałtownym ruchem zwróciła się do Montwiłła, pokazała mu armatkę, mówiąc wzburzona:

— Dlaczego dzieciom daje się do rąk takie zabawki?!

Ścisnęła armatkę w dłoni, jakby pragnąc ją zgnieść, zniszczyć.

Henio z krzykiem i płaczem upominał się o zwrot swojej własności.

Anielka musiała mu oddać zabawkę. Henio pochwycił armatkę, postawił ją w szeregu z innemi i zaczął znowu wykrzykiwać:

— Telaź ty, telaź ja — bęc, bęc!

Anielka odwróciła oczy, aby nie patrzeć na tę zabawę dziecięcą, która jej sprawiała głęboką przykrość.

A na zakręcie alei ukazały się teraz siostry Staszyńskie w towarzystwie Krzyckiego.

Anielkę uderzyła zmiana, jaka zaszła w powierzchowności Hanki.

Hanka zdawała się odmłodzona, promieniejąca jakiemś cichem wewnętrznem szczęściem. Zaróżowiła się zlekka jej blada, przedwcześnie przywiędła cera, oczy błyszczały — na usta wystąpił uśmiech zadowolenia.

Ubrana była wbrew zwyczajowi swemu w białą bluzkę i jasny wiosenny kapelusz, który przywracał trochę świeżości jej nazbyt poważnej i surowej twarzy.

— Jak to jednak wiosna działa na ludzi — pomyślała Anielka.

Krzycki i Montwiłł zamienili ukłon, panie ukłoniły się Anielce.

Oczy Stasi zaiskrzyły się i zupełnie wyraźnie, wskazując siostrze i Krzyckiemu siedzącą na ławce parę, jęła mówić do nich coś tak żywo, że na twarz jej wystąpiły silniejsze rumieńce, a pierś poczęła szybciej falować.

Hanka usiłowała tłomaczyć coś, przeciw czemu Stasia protestowała gwałtownie.

Porucznik obrzucił Anielkę przelotnem spojrzeniem i uśmiechnął się jakoś lekceważąco. Anielka odczuła ten uśmiech, jak obrazę.

Dostrzegła i zrozumiała wszystko.

Domyśliła się, że ją podejrzywają o flirt z Montwiłłem i kokieteryę — odczuła, że ją osądzają.

Gniew i żal zatargały Anielką.

Dlaczego rzucają na nią takie podejrzenia Staszyńskie, dla których przecież nie była tajemnicą historya miłości dla Kazimierza... — Dlaczego one, które uważała za przyjaciółki... To brzydkie, złe, nizkie!

Po chwili przyszła jej do głowy nowa myśl, która ją przestraszyła.

A jeżeli ona rzeczywiście zawiniła, jeżeli częstem korzystaniem z towarzystwa Montwiłła bezmyślnie odrywała go od Stasi, która go kochała i cierpi!

Czy jednak Montwiłł pokochałby Stasię, gdyby jej — Anielki nie poznał?

Anielka postanowiła dowiedzieć się tego natychmiast.

— Prawda, że Stasia ślicznie wygląda? Ona jest bardzo ładna... — zwróciła się niespodzianie do Montwiłła.

— Owszem... tak... ładna...

— I bardzo miła — ciągnęła dalej Anielka — Chciałabym mieć jej usposobienie — takie wesołe, swobodne... A serce ma złote — to bardzo dobra dziewczyna.

— Ależ tak, bez wątpienia panna Stanisława jest bardzo dobra i miła.

Montwiłł był coraz więcej zdziwiony tym nagłym zwrotem rozmowy.

— A panu jak się podoba Stasia? — badała dalej Anielka.

— Doprawdy... trudno trochę odpowiedzieć na to pytanie... Jak mi się podoba... W towarzystwie jest istotnie bardzo miła, żywa, dowcipna, ale jeżeli chodzi o moje osobiste upodobania, to wolę kobiety mniej gadatliwe, mniej trzpiotające się, no i mniej kapryśne.

Anielka uspokoiła się. Jeżeli Montwiłłowi Stasia nie podobała się prawdziwie, to wcześniej, czy później byłby się od niej odsunął.

A do miłości nie można przecież nikogo namówić!

Ze spokojnem już teraz sumieniem pytała dalej:

— Czy zauważył pan, jak się zmieniła Hanka? Wyładniała, odmłodniała, nawet ubrana inaczej, niż zwykle... Zupełnie jakby nie ta sama.

— Istotnie i mnie to uderzyło...

Anielka ścigała przez chwilę wzrokiem oddalające się postacie sióstr Staszyńskich i ich towarzysza. Kiedy zniknęli jej z oczu, zwróciła się znowu z pytaniem do Montwiłła:

— Kto jest ten pan, który szedł ze Staszyńskiemi? Widziałam, że pan mu się ukłonił.

— To jest porucznik, który ranny przyjechał z frontu... Poznałem go niedawno — odpowiedział wymijająco.

— Widzę, że porucznik, że ranny, także nietrudno odgadnąć, ponieważ rękę ma na temblaku... Ale jak się nazywa?

Montwiłł chwilę nie odpowiadał.

— Krzycki — wyrzekł wreszcie niepewnym głosem...

— Krzycki... Krzycki... — powtarzała Anielka — Słyszałam już to nazwisko... Ależ to chyba nie ten sam, który oddał panu wówczas w szpitalu... te pamiątki dla mnie?...

Usta Anielki zadrgały boleśnie...

— To jest ten sam — odpowiedział Montwiłł, nie chcąc ryzykować kłamstwa.

— Jakto i pan mi tego nie powiedział?! Ależ ten człowiek mógłby mi może dużo rzeczy opowiedzieć... On widział może ostatnie chwile... Boże!

Montwiłł po raz pierwszy przekonał się, że oczy Anielki mogą błyszczeć także gniewem.

Zaczął się usprawiedliwiać trochę niepewnie, ale Anielka rozgniewana, wzburzona, nie słuchała go.

W tej chwili odczuła do Montwiłła coś, jak nienawiść, widziała w nim wroga, który usiłuje ją oderwać od wspomnień najdroższych, od myśli o ukochanym człowieku, który przecież żyć mógł teraz tylko w jej pamięci...

Wstała z ławki i tonem bardzo ostrym rzekła:

— Rości sobie pan stanowczo zbyt wielkie prawa do opieki nade mną... Nie jestem dzieckiem i wiem, co mam robić, jak czuć i myśleć... Nie uznaję tej przesadnej troskliwości, bo nie jestem chorą, ani upośledzoną na umyśle...

Szła teraz krokiem równym, szybkim, nie oglądając się wcale na swego towarzysza...

Montwiłł bardzo blady z pochyloną głową dotrzymywał jej kroku. Widząc rozdrażnienie Anielki, nie próbował się nawet tłómaczyć, nie odpowiadał nic... Przyznawał się zresztą do tego sam przed sobą, że zarzuty, jakie go spotkały, były po części słuszne... W tym wypadku kierował się nie tylko troskliwością o nerwy Anielki, ale i w znacznej części egoizmem miłości...

Na ławce, koło której przechodzili, siedziało kilku żołnierzy-rekonwalescentów. Jeden z nich, młody jeszcze bardzo chłopiec, silny brunet o smagłej cerze i palących czarnych oczach, trzymał w ręku skrzypce i grał. Grał nieuczenie, bez sztuczek technicznych, ale z porywającym ogniem i temperamentem, grał jakąś upojną, zawrotną, napół dziką melodyę węgierską. Szalała w strunach jego skrzypiec werwa czardasza i dyszał żar miłosnej pieśni cygańskiej.

Koło ławki zebrała się spora gromadka osób. Przechodnie przystawali i słuchali.

I nagle po twarzy Anielki zaczęły się toczyć ciche, wielkie łzy.

W tej rozszalałej pieśni miłosnej dla niej dźwięczała nuta rozpaczy: już nigdy! już nigdy! nie wróci! nie wróci!

Montwiłł pochylił się ku niej i mówił coś spiesznie, gorączkowo, błagalnie.

Z początku nie słyszała go wcale, ale głos jego przenikał powoli do jej świadomości. Zaczęła rozumieć, że to słowa miękkie, dobre, kojące... Ustępował z serca żal do niego, a wracała wdzięczność.

— Jaki pan dobry, panie Stanisławie — szepnęła.

— — — — — — — — — — — — —

— Ciocia idzie, nasza ciocia idzie! Hurra!

Tym radosnym okrzykiem przywitał Jurek Legionista wchodzącą do sali szpitalnej panią Wolską.

Jurek, który był już rekonwalescentem, pospieszył do pani Krystyny, odebrał od niej kilka paczek i przyniósł krzesło.

Inni żołnierze siadali na łóżkach i zwracali ku niej rozjaśnione twarze.

— Już tak dawno pani u nas nie była — mówił z wymówką Jurek — a myśmy się za naszą ciocią stęsknili.

Jurek nadał pani Krystynie przydomek „naszej cioci“, który się przyjął w całym szpitalu. Chorzy nie nazywali pani Wolskiej inaczej, jak „ciocią“.

Nie obrażała się bynajmniej tą poufałą nazwą, przeciwnie, sprawiało jej to przyjemność, wskazując dowodnie, z jaką sympatyą odnoszą się do niej jej protegowani.

Pani Krystyna w postępowaniu swojem z odwiedzanymi przez się chorymi miała specyalny wdzięk i takt, płynący nietyle z wyrozumowania, ile z wrodzonej dobroci serca.

Nie czyniła nigdy najmniejszej różnicy między jednym a drugim pacyentem, a jednocześnie odnosiła się do każdego z taką serdecznością i troskliwością, że mogło mu się zdawać, że to jego właśnie otacza jakąś szczególniejszą opieką i sympatyą.

— Zaczarowała pani chyba moich pupilów — wtrąciła z uśmiechem panna Zofia Rasińska — tak za panią tęsknią i marzą o pani odwiedzinach.

Pani Krystyna, uradowana temi słowami, tłomaczyła się.

— Ależ ja przychodziłabym częściej, tylko nie mam czasu... Praga wielka, szpitali w niej dużo, a w każdym prawie szpitalu leżą jacyś Polacy... Trzeba wszędzie zajść, aby nikogo nie pokrzywdzić. No a tutaj do was to jeszcze stosunkowo najwięcej odwiedzających przychodzi.

— A była tu wczoraj jakaś pani czy panna — opowiadał Jurek — przyszła wystrojona, naperfumowana — rozejrzała się po sali, popatrzyła na wszystkich, zapytała pannę Zofię o nazwiska i poszła sobie, nie przemówiwszy do nikogo ani słowa. Widocznie nie podobaliśmy się jej. Chciałem za nią zrobić perskie oko, tylko mi panna Zofia nie pozwoliła.

— Ależ, panie Jurku, jakże można być tak niegrzecznym. Ta pani prawdopodobnie szukała kogoś, a ponieważ nie znalazła, więc odeszła.

— O nie! Nie szukała, bo byłaby odrazu powiedziała nazwisko... To napewno jakaś stara panna, która myśli, że funtem cukierków i pudełkiem papierosów kupi sobie w jakim szpitalu męża... Wśród nas nie znalazła widocznie odpowiedniego kandydata.

— Szkoda, że Jurek nie ma jeszcze wąsów, bo może byłby zyskał aprobatę... — zaśmiał się saper Poniewicz.

— Nawet saper się jej nie spodobał — odciął się Jurek — chociaż się świeżo ogolił i podkręcił sobie wąsy à la „pan Wołodyjowski“.

— Znowu zaczynacie się kłócić — śmiała się pani Krystyna — Ej! Bo się rozgniewam i pójdę sobie zaraz, a i tak niewiele mam czasu... Muszę pojechać do bardzo oddalonego szpitala, gdzie leży, wyobraźcie sobie, jeden tylko, jedyny Polak... — Z trudem go odszukałam... Jak się też biedak ucieszył, od dłuższego czasu bowiem nie słyszał polskiej mowy. Obiecałam mu dzisiaj przynieść kilka książek, muszę dotrzymać przyrzeczenia.

Pani Krystyna przerwała wzruszona, bo w myśli jej stanął obraz ciężko rannego żołnierza, któremu po wynędzniałej twarzy poczęły płynąć łzy, kiedy przemówiła do niego po polsku.

Leżał tyle tygodni sam wśród obcych, opuszczony, stęskniony...

— Ale pani przyjdzie do nas na Święta — upominał się Jurek.

— Naturalnie, przyniosę jajka „święcone“ — podzielimy się.

— Będziemy sobie składać wojenne życzenia — odezwała się panna Zofia — a w tym roku życzeń i pragnień nam nie brakuje, mamy ich więcej, niż kiedykolwiek.

— Eh! Cóż to będą za święta w szpitalu — westchnął Poniewicz.

— Jeszcze smutniejsze będą mieć ci w polu, zamiast dzwonów kościelnych, zagrają im granaty i szrapnele.

— A ci w barakach — rzekł smutnie jeden z żołnierzy, który miał żonę i dzieci w barakach w Choceniu.

— A ci, co zostali w kraju, myślicie, że będą mieli lepiej i weselej...

Na te słowa jeden z rannych tak mocno załamał ręce, że kości zatrzeszczały w stawach.

— Oj! Moje dzieci, moje dziecięta, gdzie wy się teraz poniewieracie!... — jęknął — może na święta nie będziecie miały dachu nad głową, kęska chleba do ust... Może tam Moskal popalił, poniszczył wszystko...

Pani Krystyna z trudem powstrzymywała się od łez, panna Zofia posępnie wpatrzyła się w przestrzeń. I ją oprócz trosk ogólnych gnębiły cierpienia osobiste, o których nie wspominała jednak nigdy...

Z zadumy wyrwał ją głos pani Krystyny, która pytała:

— Czy przybył kto nowy do szpitala?

— Czy przybył kto nowy... — powtórzyła panna Zofia — Owszem... tak... przywieziono młodego chorążego Polaka. Leży na oficerskiej sali.

— Może pani będzie tak dobra i zaprowadzi mnie do niego. Odwiedziłabym go.

— Chętnie panią zaprowadzę, chociaż wątpię, aby pani mogła z nim rozmawiać. Jest bardzo ciężko ranny, gorączkuje i prawie stale jest zupełnie nieprzytomny.

— Zaniosę mu trochę kwiatów... Zapach kwiatów może sprawić przyjemność nawet najcięższej choremu — mówiła pani Krystyna, która sama była miłośniczką kwiatów i uważała, że wywierają one jakiś dobroczynny wpływ na człowieka.

— Chodźmy zatem.

Pani Krystyna poleciła Jurkowi, aby rozwiązał paczki i rozdzielił ich zawartość pomiędzy kolegów. Wzięła ze sobą tylko wiązankę białych i blado żółtych róż o delikatnej, subtelnej woni.

Medyczka zaprowadziła panią Wolską do oficerskiej sali i wskazała jej łóżko nowoprzybyłego.

Pani Krystyna wpatrzyła się uważnie w twarz rannego. Twarz ta płonąca teraz gorączką o popękanych, szerniałych wargach ujmowała przedziwnie miłym, łagodnym wyrazem ust kształtnie wykrojonych.

Pani Krystyna ostrożnie położyła na kołdrze swoje róże. Chory jakby to odczuł i otworzył oczy, oczy wielkie, ciemno-niebieskie, zmętniałe gorączką. Na chwilę jednak błysnął w spojrzeniu promyk przytomności. Ranny spojrzał na leżące na kołdrze kwiaty, odetchnął głębiej, jakby wciągając w płuca zapach róż, obrócił wzrok ku stojącym przy jego łóżku kobietom i uśmiechnął się lekko.

Potem powieki opadły mu znowu.

— Jakie on odniósł rany? — zapytała cichutko, głęboko wzruszona pani Krystyna.

— Ramię i nogę ma strzaskane szrapnelem — odpowiedziała równie cicho panna Rasińska.

— Boże miłosierny! to może on zostanie na zawsze kaleką! Taki młody i twarz ma tak miłą, sympatyczną! Proszę pani, czy on będzie kaleką?!

— Niewiadomo! Jeżeli uda się uratować życie, to może lekarze zdołają go także uchronić od kalectwa...

— Przyjdę jutro dowiedzieć się, jak się miewa. Kto to jest, jak się nazywa? — Medyczka spojrzała na tabliczkę nad łóżkiem.

— Chorąży Kazimierz Walczak.

ROZDZIAŁ XIV.

„Ogrody Kińskiego“ okryły się swoją kwietną wiosenną szatą.

Lekki wietrzyk, poruszając gałęzie rozkwitłych wiśni, grusz, śliw i jabłoni, prószył deszczem białych i różowawych płatków.

Anielka Zurakowska szła zwolna aleją, sycąc oczy cudem wiosennym kwitnących drzew owocowych. Przyszła tutaj po raz pierwszy, aby zobaczyć ten niezwykły park miejski.

To najpiękniejszy w stolicy Czech park-ogród, tak charakterystyczny dla narodu czeskiego. Piękno przyrody, rozkosz estetyczna łączą się tutaj z celem praktycznym. Po kwiatach przyjdą owoce.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Węgrzy — Legionom polskim.

Zupełnie samorzutnie, bez żadnego wpływu ze strony Polaków, postanowiło społeczeństwo węgierskie z komitatu Szotmar-Nemety postawić pomnik na miejscu wiecznego spoczynku swych obrońców przed nawałą moskiewską — na grobie Legionistów polskich. Zawiązano w tym celu komitet w Nagybánya, jako mieście najbliżej położonem miejsc walki, na którego czele stanęli najwybitniejsi obywatele miasta, współdziała zaś z komitetem cała ludność.

Samo miasto jest nie pozbawione z historyą Polski pewnych związków. Jest w Nagybánya dom, w którym mieszkała królowa polska, Jadwiga. Jest też mennica, w której bił dukaty Stefan Batory. Całość zaś miasta robi bardzo miłe i sympatyczne wrażenie.

Uroczyste odsłonięcie i poświęcenie pomnika nie mogło się odbyć w oznaczonym terminie i zostało przesunięte na czas późniejszy, skutkiem nieprzewidzianych trudności, spowodowanych przez powodzie wiosenne.





(Fot. R. Adamowicz Dep Wojsk. N. K. N)

Węgrzy — Legionom polskim:

Prezydent miasta Nagybánya dr Makray Mihály i pastor J. Rewiss, inicyatorzy pomnika ku czci Legionistów.

Dom w Nagybánya, w którym mieszkała królowa Jadwiga. (X) Przedstawiciel kolonii polskiej w Nagybánya bar. R. Sintenis, (XX) sekretarz budapeszteńskiej del. N. K. N. dr. B. Sintenis.

Kurs dla małorolnych gospodyń.

Dnia 24 maja odbyło się w Szynwałdzie koło Tarnowa uroczyste zakończenie kursu w zakładzie zgromadzenia Sióstr N. M. P. dla Internatu małorolnych gospodyń. — Uroczystość tę poprzedziło nabożeństwo, poczem zwiedzano zakład, urządzenia internatu i wystawę, którą urządziły uczenice w zakresie zajęć praktycznych. Na wystawie tej można było oglądać wiele pięknych rzeczy, wykonanych przez uczenice, a więc roboty ręczne, przeróbki owocowe, przeróbki jarzyn, sery i t. d. Następnie rozpoczął się egzamin, któremu przewodniczył prezes dr. Bronisław Dulęba.

Odpowiedzi uczenic z wszelkich wiadomości gospodarstwa małorolnego, ogrodnictwa, sadownictwa, chowu drobiu, mleczarstwa i t. d. były wprost znakomite. To też przyznać należy, że liczni przybyli na egzamin goście, jak radca dworu dr. Kruczkiewicz z Tarnowa, ks. dr. prałat Bieda z Przemyśla, wielu księży z Tarnowa i okolicy, reprezentanci Rady powiatowej w Tarnowie i wielu innych, zdumieni wprost byli pięknym wynikiem kursu. To też słusznie więc należy się uznanie kierowniczce kursu S. Koziejównie i gronu nauczycielskiemu, które wiele pracy zadać sobie musiało, ażeby w krótkim stosunkowo czasie, bo w ciągu ośmiu miesięcy, osiągnąć tak piękne rezultaty.

Po skończonym egzaminie odśpiewały uczenice kilka pieśni, a uczenica kursu p. Robakówna w bardzo pięknych i z uczuciem wygłoszonych słowach podziękowała w imieniu słuchaczek za naukę.

Szkolnictwo narodowe w Królestwie Polskiem.

Jednym z przejawów tej niezwykłej siły żywotnej, jaką okazało Królestwo Polskie w tym ciężkim okresie wojennym — jest godna podziwu energia, z jaką społeczeństwo tamtejsze zabrało do budowy podstaw życia narodowego — to jest do tworzenia polskiego szkolnictwa. Przy odgłosie armat, wśród najcięższych warunków ekonomicznych, spowodowanych wojną, wzięto się odrazu do pracy i puszczono



Kurs dla małorolnych gospodyń: Grupa gości, kierowników i uczestniczek kursu w Szynwałdzie pod Tarnowem.





Szkolnictwo narodowe w Królestwie Polskiem: Gmach Seminaryum nauczycielskiego z internatem w Jędrzejowie. Uczniowie Seminaryum nauczycielskiego w Jędrzejowie przy pracy w ogrodzie.

w ruch cały aparat organizacyi, ożywiony jakby jedną duszą — gorącem uczuciem patryotycznem i niegasnącym zapałem. — Na całym też obszarze Królestwa Polskiego jakby z pod ziemi wyrosło szkolnictwo polskie. Znalazły się odrazu fachowe siły nauczycielskie, znalazły się niezbędne środki, bo przedewszystkiem samo społeczeństwo nie szczędziło pracy i nie cofnęło się przed żadnemi ofiarami dla wielkiego dzieła polskiej oświaty.



Szkolnictwo narodowe w Królestwie Polskiem: Kurs uzupełniający dla nauczycielek w Piotrkowie W głębi stoją: prof. Kazimierz Rudnicki, prof. Wł. Piaszczyński i inspektor Korol.



Szkolnictwo narodowe w Królestwie Polskiem: Ochronka w Piotrkowie. W głębi stoją: opiekunka ochronki p. Wodzińska, inspektor szkolny p. Edward Korol i starosta Dunikowski.

I dziś praca oświatowa weszła tam na normalne tory. — Na terenie okupowanym przez wojska austro-węgierskie, dzięki poparciu władz, nauczycielstwo polskie, przejęte zaszczytną misyą i doskonale zorganizowane, rozwija energiczną a wszechstronną działalność na polu szkolnictwa. Wyrazem ciągłych usiłowań, aby stworzyć dla szkolnictwa możliwie najtrwalsze podstawy, są odbywające się tam zjazdy i okręgowe konferencye nauczycielskie. Niedawno taka konferencya odbyła się w Kielcach, przy licznym udziale nauczycielstwa i przedstawicieli władz. Wzięli w niej między innymi udział: inspektorowie szkolni Kaczorowski, Lorenz, Kamiński, Wahn, Jasiński, Taras, Wojnarowski, Deker, Pietrzykowski, Zajączkowski, Skałecki oraz podpułkownik Vlachy, radca dr. Reiter, komisarz cywilny w Kielcach dr. Koncki i inni.



Ze wschodniego frontu: Grób Legionisty pod Czerniowcami

Obok szkół ludowych, rozrzuconych po całym kraju, w miastach doskonale funkcyonują świetnie prowadzone szkoły średnie i seminarya nauczycielskie. Dla zilustrowania tej pracy oświatowej w Królestwie Polskiem umieszczamy w dzisiejszym numerze widok seminaryum nauczycielskiego w Jędrzejowie oraz szereg fotografii z pracy szkolnej w Piotrkowie. — Widzimy tam wykład prof. Stawiskiego w VIII. klasie świetnie prowadzonego gimnazyum znanego pedagoga profesora Dąbrowskiego, naukę w siedmioklasowem gimnazyum żeńskiem p. Trzcińskiej, dalej wykłady na kursach uzupełniających dla nauczycielek i dziatwę w ochronce, znajdującej się pod opieką p. Wodzińskiej.

Należy tu jeszcze dodać, że szkolnictwo polskie w Piotrkowie ma bardzo pomyślne warunki rozwoju

dzięki ofiarnej pracy wielu wybitniejszych jednostek, które z zamiłowaniem oddają się studyom naukowym i zagadnieniom wychowawczym. Wymienić tu należy adwokata Kazimierza Rudnickiego, znanego literata i historyka, opiekuna ruchu skautowego (wydaje dwutygodnik „Wiadomości skautowe“), kierowniczkę gimnazyum żeńskiego p. Helenę Trzcińską, znaną działaczkę społeczną i oświatową, dyrektora Dąbrowskiego, mecenasa Piaszczyńskiego i innych.

Wybitne zasługi około zorganizowania szkolnictwa polskiego położył insp. szkolny p. Korol, który stara się iść na rękę społeczeństwu i uwzględniać jego życzenia. Jego zabiegom należy głównie zawdzięczać, że zarząd wojskowy oddał gmachy szkół rosyjskich na prywatne szkoły polskie (dyr. Dąbrowskiego i p. Trzcińskiej). Staraniem insp. Korola został również zorganizowany kurs uzupełniający dla nauczycielek.



Szkolnictwo narodowe w Królestwie Polskiem: Nauka w VIII. klasie gimnazyum prof Dąbrowskiego w Piotrkowie. (X) Inspektor Korol.



Ze wschodniego frontu: Największy i najmniejszy (Kapitan Modes z swym ordynansem)

Ze wschodniego frontu.

Na wschodni front przesunął się obecnie punkt ciężkości wojny. Rozpęd ofenzywy rosyjskiej został wprawdzie powstrzymany, ale na Wołyniu i na Bukowinie wywiązały się zacięte, krwawe walki, gdyż Rosya postanowiła za wszelką cenę osiągnąć w tej walce choć częściowe sukcesy. Z obu stron zaangażowane są olbrzymie siły, a walki toczą się bez przerwy z niesłabnącem natężeniem. Armią rosyjską kieruje jenerał Brusiłow, który w nieludzki sposób szafuje wojskami. To też straty Rosyan są olbrzymie i nie stoją w żadnym stosunku z osiągniętymi sukcesami.

Armie sprzymierzone nie tylko stawiają skuteczny opór atakom rosyjskim, ale miejscami przeszły do ofenzywy i zyskały na terenie. Po obu stronach walczą jednak z niezwykłym uporem i zaciętością, to też nie ulega wątpliwości, że toczy się obecnie na wschodnim froncie najkrwawszy niewątpliwie bój od czasów pamiętnej ofenzywy majowej, która zakończyła się właśnie przed rokiem ostatecznym pogromem Rosyan.

Na ten teren walki, na którym Rosya znów próbuje szczęścia, choć tyle razy poniosła tam tak dotkliwe klęski, są dziś zwrócone oczy wszystkich.

Dzielni obrońcy odpierają znów nawałę Rosyan, którzy nie szczędząc krwi, usiłują zalać Galicyę. Patrzymy zwłaszcza z podziwem na nasze bohaterskie pułki galicyjskie, które od początku wojny stoją w ogniu walki i dziś — z niesłabnącem męstwem — bronią kraju przed inwazyą upartego wroga.



Szkolnictwo narodowe w Królestwie Polskiem: Uczestnicy okręgowej konferencyi nauczycielskiej w Kielcach.



Szkolnictwo narodowe w Królestwie Polskiem: Wykład prof Piaszczyńskiego w VI. klasie gimnazyum żeńskiego p. Trzcińskiej w Piotrkowie.

Z życia i z walk tych naszych dzielnych obrońców na wschodnim froncie zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg illustracyi.

Uroczystość wojskowa w Nowym Sączu.

Niedawno odbyła się w Nowym Sączu w obecności przedstawicieli władz wojskowych i cywilnych oraz zaproszonych gości i kolegów, uroczystość udekorowania srebrnym krzyżem zasługi z koroną na wstędze medalu waleczności wachmistrza żandarmeryi Mateusza Chrzana, jednego z członków tak bardzo zasłużonego nowosądeckiego oddziału żandarmeryi. Dekoracyi dokonał rotmistrz Hartlieb, komendant oddziału. W przemowie swej wyliczył i podniósł z uznaniem działalność członków oddziału sądeckiego, którzy z zaparciem się, a bardzo często z pogardą śmierci spełniali swe ciężkie obowiązki.

Mobilizacya kobiet.

Gdy wojna powołała pod broń mężczyzn — opuszczone przez nich placówki zajmują obecnie kobiety — nawet w tych dziedzinach pracy, które dotychczas dostępne były tylko dla mężczyzn. Ta do-



Ze wschodniego frontu: Odgrzewanie obiadu w okopach pułku piechoty.

browolna „mobilizacya“ kobiet w miarę przedłużania się wojny zatacza coraz szersze kręgi.

Już dawno zatrudnia się kobiety przy czyszczeniu i myciu wagonów, przy ładowaniu węgla, przy czyszczeniu lokomotyw i ich składników, a od niedawna postawiono szereg zdolnych dziewcząt do tokarń i warsztatów, a przyznać trzeba, że wcale dobrze się ze swego zadania „wojennego“ wywiązują. W warsztatach kolejowych w Nowym Sączu jest kilkanaście dziewcząt zajętych w ten sposób.

Mamy więc w obecnym czasie wojennym nowe kategorye pracownic, jak tokarki, ślusarki, wiertaczki i t. d., a ich praca oprócz miłego wrażenia daje tę pewność, że kobieta przy dobrych chęciach i przy wyższym od mężczyzn poczuciu obowiązku może jeszcze w niejednej gałęzi przemysłu dzielnie zastąpić mężczyznę, gdy braknie jego rąk do pracy.



Uroczystość wojskowa w Nowym Sączu: Grupa uczestników uroczystości.





Ze wschodniego frontu: Cmentarze pułku piechoty

VALENTIN MANDELSTRAMM.

FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: **MARYA SEGENY.**

7

— Nie, skoro mi mówisz, że Jerome Versigny został porwany przez Archibalda Graves!...

— Tak, on został porwany, ale ktoś przebrał się w jego ubranie, wziął jego laskę i teczkę czerwoną, z którą się nigdy nie rozłączał i jako bankier Versigny wszedł do biura i to w oczach jego woźnego, który się nie poznał na tej mistyfikacyi! Ah! Przyznać trzeba, że cała rzecz była świetnie obmyślana!

— Więc to tak było! A do dyabła!

— Widzę, że zaczynasz rozumieć.

— Więc sądzisz...

— Sądzę, że zrobiono to tylko dlatego, żeby się dostać do kasy Versigny'ego i zabrać dokument, o którym wiedziano, że tam się znajduje.

— Ah! Do dyabła, do dyabła! — klął barczysty pan przez zaciśnięte zęby — Ktoby się był tego spodziewał? Ktoś nas podszedł w brzydki sposób. Pojmuję teraz twoje wzburzenie. Warto było pracować i narażać się na... rachunek sir Archibalda Graves. Ale ja w tem widzę tylko jedną rzecz dobrą dla nas.

— Teraz ja ciebie nie rozumiem.

— Zaraz, zaraz. Jeżeli policya odkryje całą tę machinacyę, łatwo teraz nam będzie zrzucić z siebie wszystko na „króla dyamentowego", to chyba jasne! My przynajmniej wyjdziemy z tej gmatwaniny cało.

— Jakim nędznym umysłem jesteś, mój kochany. Niema w tobie żadnej ambicyi, żadnych wyższych dążności! Cieszysz się z tego, że cię nie zamkną, jak małe dziecko! I to ci zupełnie wystarcza! Dlatego, że nas ktoś podszedł, chcesz porzucić sprawę całą! I nie szukasz sposobu na naprawienie złego?

— Bo go nie widzę.

— Nie pytasz się nawet, kto przebrał się za Versigny'ego i ukradł dokument.

— To prawda, że mi to na myśl w pierwszej chwili nie przyszło. Ty się domyślasz?

— Nie potrzebuję się domyślać, bo wiem z wszelką pewnością. To baron de Lambriere.

— Baron de Lambriere?

— Tak!

— Ależ on według wszelkiego prawdopodobieństwa przebywa jeszcze w Szwajcaryi. Miał dopiero powrócić jutro wieczorem.

— Mylisz się. Był w Londynie, gdzie porozumiał się z sir Archibaldem Graves. On to poprowadził rzecz całą i dobrze, jak wykazują rezultaty, podszedł szwagra i zabrał mu dokument.

— Ładna robota, niema co mówić! Dzielny człowiek z tego barona. Ale ja jeszcze dotąd nie widzę, co byśmy mogli za korzyść wyciągnąć dla siebie.

— Nie domyślasz się?

— Nie! Możnaby co prawda zabawić się w szantaż z Archibaldem Graves, ale to mi się nie uśmiecha.

— Jest coś o wiele lepszego. Ale mój Boże! Jakiś ty ciężki do myślenia. Czy przypuszczasz, że baron de Lambriere będzie tak naiwny i jak grzeczne, małe dziecko odda natychmiast skradziony dokument Archibaldowi Graves, nie stawiając mu warunków swoich? Pocóż więc się narażał?

— To słuszne!

— A widzisz. Dokument zachowa, dopóki Archibald Graves nie opłaci go tak, jak on tego zażąda. Taki targ potrwać może czas jakiś. I według mojego przekonania, podsuwa nam się sposobność dosko nała. Włodzimierz Guzow już nie żyje. Jerome Versigny dzięki anglikowi nie jest w stanie nam szkodzić... Pozostaje więc tylko Lambriere, jako jedyny posiadacz tajemnicy...

— Przejmuję zupełnie myśli twoje.

— I teraz przyznajesz, że jeszcze jest tu coś do zrobienia?

— Oczywiście!

— Zaczynasz powracać do rozsądku. Czas był już wielki, mój kochany.

— Wyjaśnij mi do końca swój plan.

— Otóż trzeba bez zwłoki pospieszyć za Lambrierem. Musisz to tak zaaranżować, żebyś nie wyszedł od niego bez dokumentu. Żadnych obietnic — rozumiesz?

— Rozumiem.

— Najlepiej nawet z nim nie mówić, bo szkoda tylko czasu.

— Muszę się dostać do jego mieszkania.

— Pomyślałam już o tem. Oto masz dwa klucze, którymi otworzysz wejście główne do jego mieszkania i wejście służby.

— Rozkład znam, bo już tam byłem.

— Właśnie i będziesz mógł skorzystać z tego małego, wywierconego przez ciebie otworu w ścianie. Pamiętasz, poradziłam ci to uczynić wówczas jeszcze na wszelki wypadek.

— Pamiętam!

— No dosyć już. Czas mi wracać. Sądzę, że to do jutra załatwione zostanie?

— Ma się rozumieć. Nie mam czasu na rozwlekanie całej historyi. Uwiadomię cię natychmiast.

— Tylko ostrożnie. Odchodzę. Bądź zdrów! Zostajesz tutaj?

— Nie, wyjdę trochę sił nabrać.

— Tylko ich nie przebierz. Pamiętaj, że musisz mieć całą przytomność umysłu.

— No, no. Nie bój się. Idź już.

I tak, jak za pierwszem spotkaniem, barczysty pan przeczekał kika minut po odejściu starej damy i wysunął się dyskretnie z Central Palace. Prosto udał się na Montmartre, wszedł do niepozornego, nizkiego domku, gdzie zabawił z pół godziny. Kiedy wychodził stamtąd, nikt by w nim nie poznał poważnego, modnie ubranego dżentelmena. Miał na sobie długą bluzę robotniczą, aksamitne, wyniszczone spodnie, kapelusz stary nasunięty na czoło i chustkę zawieszoną na szyi. Do czarnych wąsów jakie miał przedtem, dostosowana była niewielka broda tego samego koloru.

— A teraz do baru na pokrzepienie — szepnął z zadowoleniem. — Czeka mnie dziś porządna robota.

I poszedł w dół ulicy, garbiąc wysoką swoją postać i ciężko włócząc nogami, jak uczciwy robotnik powracający z całodziennej pracy do domu.

Rejestr.

W ciągu pierwszej swojej rozmowy z Michaliną Versigny i panem Cambaux, Bernac między innemi oświadczył:

— Musimy postępować nadal w sposób systematyczny i pewny. Przypuszczenia, które wam wyłożyłem, dotyczące faktów, stanowią dopiero zarys, dosyć poważny, przyznaję, ale w którym brak silnych podstaw i materyału. Aby otrzymać ten materyał i wynaleźć składniki, z których jest złożony, musimy badać szczegół po szczególe, badać życie pana Versigny, barona Gerarda de Lambriere i sir Archibalda Graves. Przyjaciel mój Clemson informować mnie będzie z Anglii, ale mam przeczucie, że nie tam znajdziemy rozwiązanie zagadki...

I każdy w swoim kierunku wziął się do roboty.

Bernac uważał, że jego obecność jest konieczną w Paryżu i, aby nie narazić się na niepotrzebną stratę czasu, zawezwał Clemsona, aby przybył do niego celem omówienia dalszej akcyi.

Clemson, odebrawszy wezwanie przyjaciela, wyruszył natychmiast do Francyi.

Angielski detektyw miał wygląd spokojnego pomocnika handlowego. Był drobny, szczupły z małą, dziecinną twarzą i zdziwionemi zawsze oczami. Nosił niezmiernie klasyczne ubranie angielskie w duże kraty jasne.

Łagodny i budzący zaufanie wygląd jego był jednym z atutów, którym mógł doskonale operować. Głęboki psycholog i obserwator, umiał sobie zjednać ufność i sympatyę każdego, z którym rozmawiał.

Zamordowanie sir Archibalda Graves, milionera angielskiego, wywołało niemało rozgłosu po całym kraju. Policya angielska zaalarmowana tą wiadomością rozesłała detektywów swoich najzdolniejszych na wszystkie strony, dla zbadania sprawy. Clemson, przyjaciel Bernaca, znał ją dotąd tylko ze strony oficyalnej. Rozmowa zaś z Bernacem odkryła mu rzeczy zupełnie nieoczekiwane.

Clemson, obdarzony silnym zmysłem asymilacyjnym, szybko zoryentował się, przejął przekonania Bernaca i odjechał, wkrótce obiecując przesłać jaknaiszybciej interesujące wiadomości.

I odtąd Bernac był pewnym, że w otoczeniu „Trustu dyamentowego" i jego prezydenta, sieć dochodzeń zręcznie zaciągnięta została i śledztwo przeprowadzone zostanie z najwyższą ścisłością.

Cambaux zaś, któremu Bernac powierzył życie zmarłego barona de Lambriere, zajął się energicznie zliczaniem najdrobniejszych szczegółów jego przeszłości i istnieniem bilansu obecnego stanu jego majątkowego, jakoteż wszystkich jego operacyi finansowych.

Zachowujące sobie jednak główny kierunek tych poszukiwań i wszystkich ruchów szefa policyi, Bernac zarezerwował dla siebie i Michaliny to wszystko, co tyczyło się zaginionego bankiera.

Śledztwo ich skoncentrowało się w równej mierze na banku Versigny'ego przy ulicy Pillet-Vill, jakoteż i do ostatniej wycieczki do lasku bulońskiego. Cała służba, personal biurowy i osoby interesowane w sprawach Jeroma Versigny'ego zostały dokładnie zbadane i śledzone.

A ponieważ Bernac twierdził, że w podobnych wypadkach, jeżeli chodzi o wygraną zupełną, stanowisko i stopień zażyłości osób otaczających bankiera w grę nie powinny wchodzić, nikogo nie dopuszczono do tych poszukiwań — ani więc pana Delong ani miss Hopkins.

Raz nawet Bernac, będąc u Michaliny, odezwał się żartobliwie:

— Właściwie i panią, panno Michalino, powinienem wykluczyć od mojego sekretu i pracować sam, na własną rękę. Postępuję nie metodycznie i nie według obranego rozumem kierunku. Ale w tym wypadku kieruje mną żywa sympatya, którą dla pani odczułem.

Michalina ze zdziwieniem spojrzała na młodego literata i nagle bez słowa podeszła do niego i uścisnęła gorąco jego rękę.

Przymierze więc między nimi było od tej chwili zupełnie zawarte. Lecz ten uścisk ręki Michaliny dziwnie podziałał na Bernaca. Twarz jego przybrała wyraz nadzwyczajnej powagi i skupienia. Chcąc zamaskować wzruszenie, roześmiał się głośno, lecz śmiech ten nie zabrzmiał szczerze. Wówczas młoda dziewczyna raz jeszcze badawczem obrzuciła go spojrzeniem. Oczy ich na chwilę zbiegły się ze sobą i nagły rumieniec wybiegł na bladą twarz Michaliny; nie mogąc ukryć silnego zmieszania, szybko wybiegła z pokoju.

Kiedy po jakimś czasie powróciła, twarz jej jak zawsze spokojna była i poważna. Tylko silniejszy blask oczu zdradzać mógł, że dusza jej czemś wstrząśnięta została.

— Panie Bernac — oświadczyła swobodnie, wchodząc do gabinetu, gdzie zwykle pracowali razem — najwyższy czas, abyśmy się wzięli do roboty.

Bernac, który dotąd siedział zamyślony, w bezczynnem jakiemś odrętwieniu, na dźwięk jej spokojnego głosu oprzytomniał. Zerwał się szybko i odparł, uśmiechając się z przymusem:

— Zdaje mi się, że będę zmuszony zawsze podziwiać zimną krew pani, panno Michalino. Zawstydziłaby nią pani niejednego najsilniejszego człowieka.

— Przecenia mnie pan! — odparła młoda dziewczyna — Pan wie, jak kocham mojego ojca. Ciągła myśl o nim dodaje mi siły i przytomności umysłu. Co mamy dzisiaj do roboty?

— Musimy przejrzeć rejestr, w którym woźny zapisywał gości zgłaszających się do ojca pani! — odpowiedział Bernac już naturalnym głosem — W tej chwili go przyniosę.

Powrócił wkrótce i natychmiast oboje zasiedli przy stole, systematycznie przeglądając kartki dużej księgi.

Rejestr był bardzo obszerny. Datował on z sześciu miesięcy i zawierał do dwóch tysięcy nazwisk różnych, przeważnie im nieznanych.

Pomimo trudności podobnego przedsięwzięcia, bo Bernac przypuszczał, że wiele z tych osób mogło się przedstawić pod fałszywemi nazwiskami, dokonali systematycznego klasyfikowania, aby módz przy sposobności wykorzystać go.

Chcąc zachęcić młodą dziewczynę do tej nudnej i absorbującej czynności, Bernac tłumaczył jej:

— Musimy robić to wszystko, co jest w granicach naszych możności i sił, wyczekiwać na sposobność pochwycenia choćby najdrobniejszego śladu, rozumie mnie pani.

— Widzi pan, że jestem gotowa na wszystko! — odparła Michalina.

— Oceniam to. Czas i przypadek mogą również nam być bardzo pomocne, tem bardziej, że jak mam prawo przypuszczać, tajemnica, którą pokryte jest zniknięcie pana Versigny, jest dosyć skomplikowanej natury. Niejedna osoba i niejeden fakt, na pozór błahy, są tu wmieszane. W tej chwili naprzykład przygotowujemy także nadejście tego przypadku. A nasi przeciwnicy, którzy nie domyślają się naszej pracy i poszukiwań, napróżno będą się starać niszczyć ślady za sobą, zacierać okoliczności i oddalać świadków. Ich zabiegi będą spóźnione, bośmy je przewidzieli i stosownie wobec nich zabezpieczyli. Na tak przygotowany drobiazgowo teren walki nie mogą wejść zwycięzcami.

— Więc zwyciężymy ich, panie Bernac! — zawołała gorąco Michalina — Zwyciężymy ich, nieprawdaż?

— Musimy! — odparł poważnie Bernac, ze wzruszeniem patrząc w jej rozpromienione oczy.

Kiedy w dwie godziny później, po ukończonej robocie, Bernac pożegnany przez młodą dziewczynę, odchodził już, zatrzymał się we drzwiach i rzekł jeszcze:

— Zapomniałem zwrócić pani uwagę na dzienniki.

— Na dzienniki? — powtórzyła zdziwiona Michalina.

— Tak jest. Trzeba je starannie codziennie przeglądać. Kto wie, może którego dnia znajdziemy w nich coś interesującego bardzo.

— Od dzisiaj będę przeglądać wszystkie dzienniki — oświadczyła Michalina — i z każdą wiadomością, która zbudzi moją uwagę, z panem się podzielę.

— Chciałem właśnie panią o to prosić! — rzekł Bernac, wychodząc.

Trzy tygodnie upłynęły już od zniknięcia Jeroma Versigny i Bernac dotąd nie odkrył nic nowego. Zaczynał się już trochę niecierpliwić, podniecony smutnym wyrazem oczu Michaliny, w których zdawało mu się, że czyta wyrzut jakiś czy zniechęcenie. A przecież dotąd robił, co tylko było w jego mocy. Czyżby przeciwnicy jego naprawdę byli silniejsi? Kto wie, może się już ukryli poza granicami kraju, w bezpiecznem miejscu, uwożąc ze sobą bankiera i on nigdy nie będzie mógł zwrócić ojca młodej dziewczynie? Gdyby chociaż mógł wiedzieć, w jakim celu to uczynili? Clemson także nie dawał żadnych pocieszających wiadomości. Zdawało się, że nad całem ich śledztwem zawisła jakaś niemoc i ciemność nie do przebicia.

Zniechęcony i smutny Bernac pewnego ranka poszedł na ulicę Monceau, żeby chociaż na chwilę porozmawiać z młodą dziewczyną.

Michalina już od godziny wyglądała go z balkonu. Kiedy dostrzegła go na skręcie ulicy, zbiegła szybko i przywitała go u wejścia. Twarz miała dziwnie ożywioną. Oczy jej ciemne błyszczały nadzieją i zadowoleniem.

— Niech pan czyta! — zawołała podając mu numer „Figara“.

— Co to jest, panno Michalino?

— Niech pan czyta. Tam, na stronie „różnych wiadomości!“

Ale Bernac wzruszony nie mógł nawet rozwinąć dziennika. Wtedy Michalina wyrwała mu go z ręki i znalazłszy szybko artykuł właściwy, czytała głośno:

— „Włodzimierz Guzow, poddany rosyjski, zamieszkały ostatnio w pensyonacie „Europa“, na ulicy Tournon numer 36, wydalił się dnia 10 lutego, nie pozostawiając adresu swojego. Proszony jest o zgłoszenie się bezzwłocznie do konsulatu rosyjskiego przy ulicy Grenelle, w ważnej i pilnej sprawie“.

W pierwszej chwili Bernec doznał lekkiego rozczarowania.

Być może, że doniesienie to mogło się tyczyć ich sprawy, lecz to było tylko przypuszczenie i nie widział sposobu przekonania się o tem.

— No! Rozumie pan? — zapytała Michalina.

— Nie bardzo! — odparł Bernac, wahając się.

— Włodzimierz Guzow!

— Któż to jest?

— Nie przypomina pan sobie?

— Nie!

— Ależ to nazwisko zapisane jest w rejestrze naszym — zawołała Michalina.

Bernac drgnął nagle. Błysk radości przebiegł po jego twarzy. Spojrzał z podziwem na młodą dziewczynę.

— Prawda! — szepnął — pani ma słuszność. Pamięć pani jest nadzwyczajna. Może nam oddać obecnie wielką przysługę.

— Oh! To nietylko moja pamięć. Pana myśl klasyfikacyi nazwisk dopomogła mi bardzo.

— To jest bez znaczenia. Pani posiada tę nadzwyczainą bystrość oryentacyi i uwagi, tak rzadką u ludzi...

— Panie Bernac, zawstydza mnie pan, nie mówmy o mnie, proszę pana.

— Dobrze. Ale pozwoli mi pani jeszcze powiedzieć, że ja bym sto razy przeczytał to ogłoszenie i nie zwrócił na nie uwagi.

— A przecież pan sam kazał mi tak dokładnie przeglądać dzienniki — zaśmiała się Michalina.

— Bo wierzę więcej w panią, niż w siebie samego — odparł poważnie Bernac, patrząc jej prosto w oczy.

Michalina odwróciła głowę.

— Chodźmy zaraz do banku, zajrzeć w rejestr — prosiła, lekko zmieszana.

— Jedźmy, bo automobil mój czeka w drugiej ulicy.

— Michalina skoczyła tylko do swojego pokoju ubrać się i za chwilę rozpromieniona, drżąca z niecierpliwości zbiegła na dół, nagląc Bernaca do pośpiechu.

— Takbym już wszystko wiedzieć pragnęła — szepnęła, podczas kiedy automobil unosił ją w stronę ulicy Pillet Vill, do biur banku.

— Panno Michalino — odparł Bernac — przeczucie mi mówi, że dzisiejszy dzień będzie ważny dla naszych poszukiwań. I to tylko dzięki pani...

— Znowu, bo wyskoczę z automobilu! — zawołała młoda dziewczyna udając rozdrażnienie.

— Niech pani jeszcze teraz nie robi tego! — zaśmiał się Bernac — Musimy się najsamprzód do wiedzieć, czy wyczytana przez panią wiadomość w „Figarze“ naprawdę tak ważną była.

W pięć minut później wysiadali już przed domem bankowym bankiera Versigny'ego i weszli do jego gabinetu.

Na biurku leżał ów sławny rejestr.

Niecierpliwą ręką Michalina przerzucała kartki.

— Oh! Niech pan patrzy! — zawołała — Włodzimierz Guzow. Zdaje się, że był kilkakrotnie u ojca.

— Rzeczywiście! — odparł Bernac, który stał pochylony nad nią i śledził z nią razem wypisane nazwiska — Ale musimy dojść, w którym czasie to było!

— W początkach grudnia tego roku — oświadczyła po chwili Michalina — O, widzi pan! To jest ostatnia data. Potem już nigdzie niema tego nazwiska.

Rzeczywiście, Versigny od chwili, w której postanowił przyłączyć się do pracy młodego uczonego, unikał spotykania się z nim w swojem biurze. Zapomniał jednak wymazać nazwisko jego, kilkakrotnie zanotowane przez woźnego w rejestrze. Ta drobna nieostrożność jego mogła się teraz okazać w skutkach zbawienną i popchnąć całą sprawę naprzód.

Bernac więc zapisał sobie nazwisko Włodzimierza Guzowa i zaznaczył dzień ostatniego jego przybycia do biura bankiera. Michalina drżała z niecierpliwości i gorączkowego podniecenia.

— Musimy odnaleźć tego człowieka! — mówiła, kiedy w jakiś czas później Bernac odwoził ją do mieszkania.

— Zacznę natychmiast czynić poszukiwania za nim! — odpowiedział Bernac, który podzielał jej uczucia — Będę się informował w konsulacie rosyjskim. Jeżeli nie zgłosił się sam jeszcze, to w każdym razie coś tam o nim wiedzieć powinni.

— Nie wiem dlaczego, ale zdaje mi się, że przez tego Włodzimierza Guzowa dowiemy się coś o ojcu. Kiedy przeczytałam to ogłoszenie, doznałam dziwnego wrażenia. Ale co ten Rosyanin mógł mieć wspólnego z ojcem moim? Czy nie przypuszcza pan nic, panie Bernac?

— Każde przypuszczenie nasze może być mylne, dopóki tego człowieka nie zobaczę i nie pomówię z nim. Więc przedewszystkiem szukać go muszę. Odwiozę teraz panią do domu i natychmiast udam się do pana Cambaux. Razem obmyślimy, co nam dalej czynić wypada.

W dziesięć minut później Bernac był już w mieszkaniu pana Cambaux. Nie mogąc sam w oficyalny sposób żądać w konsulacie informacyi o Włodzimierzu Guzowie, wysłał tam szefa policyi i sam zaczekał w jego mieszkaniu.

W godzinę później Cambaux powrócił z pożądanemi wiadomościami:

— Włodzimierz Guzow urodzony, w 1884 w Kałudze, był profesorem chemii organicznej na uniwersytecie w Moskwie. Zaplątany w sprawę rewolucyjną, został aresztowany i wysłany do ciężkich robót na Syberyę. Po trzech latach pobytu tam został ułaskawiony. Stamtąd udał się do Petersburga, następnie do Paryża, gdzie mieszkał od kilku miesięcy. Z powodu sukcesyi, która spadła na niego ze strony rodziny matki, władze rosyjskie poszukiwały go.

— Wolę, że poszukują go w kwestyi sukcesyi — rzekł Bernac do pana Cambaux — niż w sprawach politycznej natury. Byłoby jeszcze więcej zamieszania w tem wszystkiem.

— Zapewne! — odparł pan Cambaux — Jednakże obecność tego Guzowa w Paryżu wydaje mi się być pokryta tajemnicą. Poco on tutaj przybył?

— Odebrał pan wiadomości w policyi naszej, że zajmował się tylko nauką i niczem innem nie zwrócił na siebie uwagi?

— Tak, to prawda! Ale pod pozorem nauki można jeszcze zajmować się także wielu innemi rzeczami, które z tem nic wspólnego nie mają — mruknął nieprzekonany pan Cambaux.

Bernac obiecał Michalinie, że tego samego dnia jeszcze podzieli się z nią otrzymanemi wiadomościami. Pożegnawszy się wiec z przyjacielem, powrócił na ulicę Monceau do mieszkania bankiera Versigny'ego. Wszedł do gabinetu właśnie w tej samej chwili, kiedy młoda dziewczyna w towarzystwie miss Hopkins wracała z przejażdżki po lasku bulońskim. Michalina, nie zwracając uwagi na zgorszoną minę swojej opiekunki, pobiegła do niego i obrzuciła go gorączkowemi pytaniami, zapominając o przyjętych zwyczajach ostrożności. Bernac znacząco uścisnął jej rękę i zwrócił się grzecznie do Angielki. Nie mógł przecież mówić przy niej, skoro z ich rozmów wszyscy wyklu czeni zostali. Jednakże zaniepokojona twarz Michaliny i błagalne jej spojrzenia nie dawały mu spokoju. Postanowił ją chociaż trochę uspokoić.

— Niema nic nowego, niestety, panno Michalino — rzekł spokojnym głosem — ale mam nadzieję, że dziś jeszcze wieczorem przyniosę pani lepsze wiadomości.

— Niech Bóg pana wysłucha — oświadczyła z namaszczeniem miss Hopkins, wznosząc wyblakłe oczy ku niebu — To biedne dziecko męczy się tak strasznie! Co to za życie! W ciągłej obawie i niepokoju. Gdyby to było w mojej mocy, uczyniłabym wszystko, aby tylko jej spokój przywrócić!

— Czynimy też wszystko możliwe w tym kierunku — odparł gorąco Bernac — i zdaje się, że jesteśmy na najkrótszej drodze.

— Czy naprawdę? — zainteresowała się silnie miss Hopkins — Oh! panie Bernac! Niech pan uczyni zadość mojej ciekawości. Tak pragnę się czegoś dowiedzieć o naszym kochanym panu Versigny!

— Niestety, nie mogę jeszcze zaspokoić ciekawości, pani miss Hopkins — odpowiedział Bernac zimno — gdyż sam dopiero zbieram potrzebne mi informacye. Ale w niedługim czasie, jak powtarzam wszystko się wyjaśni.

— Oh! Jakże to mnie cieszy! — zawołała miss Hopkins — Tajemnica otaczająca zniknięcie ojca Michaliny jest tak straszną, że niepokoić musi każdego. Nie miałyśmy ani jednej chwili radosnej od tego okropnego dnia, nieprawdaż kochanko?

Michalina skinęła tylko głową. Tak gorąco pragnęła rozmowy sam na sam z Bernacem, że byłaby chętnie widziała Angielkę już za drzwiami pokoju. Ale miss Hopkins wcale nie zdradzała zamiaru odejścia i jej objawy serdeczności drażniły tylko młodą dziewczynę. Dostrzegł jej usposobienie Bernac i powstał, chcąc pożegnać się już i oszczędzić jej tych przykrych chwil wyczekiwania daremnego. Ale Michalina powstała również i w oczach jej Bernac wyczytał gorące pragnienie towarzyszenia mu chociaż do drzwi przedpokoju. Jednakże odmówił jej prośbie lekkim ruchem głowy i ukłoniwszy się wyszedł śpiesznie.

Znalazłszy się przed domem rzucił rozkaz szoferowi:

— Na ulicę Pournon numer 13 b.

Słowa te dosłyszała miss Hopkins, stojąca przy oknie. Zbladła lekko i nerwowe drżenie przebiegło po jej twarzy, opanowała się jednak wkrótce i dalej zabawiała rozmową pogrążoną w zadumie Michalinę. Dopiero w jakiś czas później, ciągle wesoła i ożywiona, zauważyła od niechcenia:

— Jaki to sympatyczny człowiek, ten Bernac, nieprawdaż, kochane dziecko? I jaką subtelną dyskrecyą powoduje się nawet względem ciebie. Nie chce, aby ktokolwiek mieszał się w jego sprawy. Ale poco on pojechał teraz na ulicę de Pournon, czy nie wiesz przypadkiem?

— Nie, nie wiem — odpowiedziała Michalina. — I nie zapytałabym się go o to, jeżeli sam, dobrowolnie nie uzna za stosowne mnie objaśnić.

— To dziwne... w takim serdecznym stosunku — wycedziła miss Hopkins — patrząc badawczo w twarz swojej uczenicy.

— Dlatego właśnie — odparła podrażniona już jej naleganiem młoda dziewczyna — że pan Bernac okazuje mi tyle serdeczności, ufam mu i nie myślę kontrolować jego kroków.

Miss Hopkins umilkła urażona, a Michalina wyszła z gabinetu zła na siebie, że przed chwilą w obecności jej nieostrożnie, podniecona ciekawością, zadała kilka niepotrzebnych pytań Bernacowi.

— Te stare panny zawsze są niemożliwie ciekawe — myślała z niezadowoleniem. Dlaczego miss Hopkins interesuje się tak Bernacem i jego bytnością na ulicy Pournon?

I postanowiła na przyszłość być ostrożniejszą i iść tylko za mądremi radami swojego przyjaciela.

Na śladzie.

Po opuszczeniu mieszkania Michaliny, Bernac kazał się zawieść do pensyonatu „Europa“. Był niezadowolony, że z powodu obecności miss Hopkins nie mógł powiedzieć kilka słów uspokajających Michalinie, lecz pocieszał się, że wynagrodzi jej to wieczorem.

Stary służący, Adolf, wprowadził go do poczekalni, gdzie zazwyczaj pani Lutin przyjmowała swoich gości w pokoju o wybitnym, banalnym wyglądzie, ścianach pokrytych tapetami w kwiaty i meblach jaskrawego koloru.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Ze wschodniego frontu: Twierdza polowa „Kraków“ pod Czerniowcami.



Z pobojowiska gorlickiego: Wobec zburzenia kościoła nabożeństwa odbywają się w ochronce.

Legioniści przy pracy oświatowej.

Czas wolny od zajęć wojskowych obracają Legioniści nie tylko na zabawę i odpoczynek. Staraniem kapitana Paselli, komendanta trenu dywizyjnego Legionów polskich, powstała na Wołyniu w miejscowości K. pierwsza szkółka dla dzieci tamtejszej ludności. Nauczyciel-legionista uczy dziatwę czytać i pisać po polsku i białorusku. — W myśl rozkazu komendy armii w krótkim już czasie zostanie otwarty cały szereg tego rodzaju szkółek, tak, że dzieci polskie, które dawniej tylko potajemnie mogły pobierać naukę w języku ojczystym, teraz będą mogły swobodnie to czynić.

Walczyć się musi na razie z rozmaitymi brakami, głównie zaś z brakiem podręczników szkolnych. Dlatego też inicyatorzy szkółki legionowej proszą dzieci polskie z innych okolic kraju o nadsyłanie im starych polskich i ruskich elementarzy, tabliczek, katechizmów pod adresem: „Komenda trenu dywizyjnego Legionów polskich, poczta polowa Nr. 355“.



Mobilizacya kobiet: Kobiety przy pracy w warsztatach kolejowych w Nowym Sączu.



Strzaskany miotacz min w okopach.



Zwłoki żołnierza w zburzonych okopach.

Ze wschodniego frontu:

Kronika tygodniowa.

Znaną chyba w całym świecie, szczególniej zaś u nas, jest instytucya tak zwanych poobiednich kaw. W tym lub owym domu zbierają się w pewnych oznaczonych dniach znajome damy celem wypróżnienia kilku filiżanek cykoryi, zaprawionej kawą i podzielenia się zebranemi w mieście wiadomościami. Mężczyźni są od tych seansów z zasady wykluczeni, wyjątek stanowi tylko kasta tak zwanych „bawidamków“, pełniących przy boku dam funkcye adjutantów, towarzyszów podczas kwesty i tomboli na cele dobroczynne, reporterów od najświeższych wypadków, tragarzy i t. d. Ale i oni nie bywają dopuszczani do pełnej konfidencyi, na zakończenie odbywa się tajne posiedzenie, podczas którego muszą opuścić pokój jadalny, wolno im natomiast czekać w przedpokoju, by potem poodprowadzać do domu zwłaszcza podlotki (powyżej lat czterdziestu), żyjące w ciągłej obawie, by się przypadkiem nie dostały w ręce handlarza żywym towarem, który z pewnością wywiózłby je do Turcyi i tam sprzedał do haremu jakiegoś baszy (...ale chyba tylko Staroturka, gdyż Młodoturek skwitowałby pewnie z tej przyjemności!...).

Tematem rozmów są przedewszystkiem sprawy polityczne i najnowsze depesze, nadeszłe „na własnym drucie“ (nigdy ich nie było!), wiadomości, do starczone przez pocztę pantoflową i wyżej wspomnianych „bawidamków“ i inne, tym podobne, na tajnem posiedzeniu roztrząsa się osobiste sprawy bliźnich bez względu na to, czy się z nimi żyje w przyjaźni, czy nie. Każda sprawa poruszaną bywa przez specyalną referentkę i żywo omawianą, zacietrzewienie dochodzi nieraz do tego stopnia, że w kąt parlament z najbardziej zażartą walką wrogich sobie stronnictw. Nawet własnym mężom dostaje się odpowiednia porcya przy tej sposobności!

Gdy się tak słucha zdaleka tej pogwarki, ma się złudzenie, że się jest na polu walki. Karabiny maszynowe terkocą bez przerwy, od czasu do czasu odzywa się „gruba Berta“. To przewodnicząca zgromadzenia, najczęściej z wieku, rzadziej z urzędu, mająca głos decydujący...

Otóż tym sympatycznym „kawusiom poobiednim“ dzięki wojnie grozi zagłada, dla rozmaitości bowiem wprowadzono karty kawowe, przyznające na żołądek i ośm tygodni po pół funta kawy!

Konsternacya wobec tego pomiędzy damami nie do opisania, odbyło się już kilkanaście wieców w tej sprawie, zajmuje też ona cały porządek dzienny popołudniowych zgromadzeń. Poczciwe niewiasty żegnają się z kawą, a pożegnanie to jest tak wzruszające, że doprawdy wartałoby, aby zajął się tem któryś z naszych poetów i przekazał potomności w jakim mu się wierszu podoba! Im mniej będzie rytmu i rymów, tem więcej uczucia, jeśli zaś doda się jeszcze kilka błędów ortograficznych i gramatycznych, cel będzie osiągnięty w zupełności. Będzie to prawdziwy nastrój kawowy!

Ale, ba! Jakże poeta może spłodzić arcydzieło, skoro kawy brak, a on nią właśnie i dajmy na to morelówkami nasycał swe wnętrze i podniecał w ten sposób natchnienie... Klapa więc na całej linii.

Poetami zajmować się ze względu na kawę nie będę, została im przecież morelówka, więc nie są tak opuszczeni, parę słów współczucia poświęcić jeszcze muszę nieszczęśliwemu, bo tak srodze do tkniętemu rodzajowi żeńskiemu.

Onegdaj, jadąc tramwajem już koło południa, spotykam dwie damy z „towarzystwa“, obie w nie oczyszczonych jeszcze trzewikach (byłem pewny, że na znak żałoby za kawą!). Z natury jestem ciekawy, zacząłem więc słuchać, o czem mówią:

— Ach! Życie już człowiekowi obrzydło, moja droga pani! — narzekała jedna.

— Żeby ta wojna raz się już skończyła! — dodała druga.

— Niech sobie pani wyobrazi! Od siódmej jestem na nogach! A teraz siódma o szóstej! Chodziłam po sklepach za kawą, by dostać bodaj ćwierć funta, bo spodziewam się dziś gości popołudniu. U Szarskiego niema, u Jawornickiego także, u Meinla ścisk, że zdaje się, iż człowiekowi żebra połamią, u Suskiego to samo... A samej cykoryi przecież nie dam, boby mnie przyjaciółki obniosły po mieście!... Dopiero z wielkim trudem udało mi się kupić u Barberowskiego!

— I ja tam kupuję zawsze. Żałuję, żem tam nie poszła, bo i ja za kawą chodzę od rana.

— To może i u kochanej paniusi dziś przyjęcie?

— Tak! Zbieramy się zawsze we czwartek. To już taka tradycya rodzinna. Tak było u mojej nieboszczki mamy, świeć Panie nad jej duszą, tak jest u mnie, a jak będzie na przyszłość, tego nie wiem!

— Oj, bieda, bieda, moja kochana pani... Ja tam wybrałam piątek. Po postnym obiedzie trzeba bodaj kawą wzmocnić wątłe ciało... Ale co tam w domu się dzieje?... Od rana nie byłam, nie wydałam dyspozycyi co do obiadu, chyba że mąż się tem zajął!

— To on się zna na tem?

— Nauczyłam go!..

— Mój się jeszcze nie utemperował! Jestem pewną, że zrobił awanturę, iż zostawiłam go bez śniadania!

— Ma pani kochana wyrówkę, że kawy brak!

— Kiedy on pija mleko...

— Także coś!...

Dalej już tej kawowej dyskusyi nie słuchałem, pewny, że nieraz jeszcze przyjdzie zająć się tą sprawą.

I nie omyliłem się.

Zaledwie znalazłem się w domu, wpada do mego pokoju Weronisia, *ex re* kawy także od dwu dni zdenerwowana (zawiało mnie nawet z tego powodu i chodzę lekko napuchnięty... ale to przejdzie!) i woła mnie do salonu.

Posłuszny idę i zastaję tam cały zespół niewiast różnego wzrostu, wieku, tuszy i urody. Pokazało się, że jest to deputacya uczestniczek poobiednich kaw, mająca mnie prosić o łaskawą, a skuteczną interwencyę. Prowadziła ją naturalnie Weronisia, przedstawiając po kolei damy, należące do wszelkich sfer społecznych. Były tam prywatyzujące, były nauczycielki, były doktorki, były urzędniczki, były mężatki, bezdzietne panny i rozwódki i wiele, wiele innych zawodów, a wszystkie powitały mnie jednym bolesnym okrzykiem:

— Kawy, panie, kawy!

Wysłuchałem przemowy, którą w imieniu deputacyi wygłosiła Weronisia, choć jej przyjaciółki ciągle przeszkadzały, a ona, by nie wypaść z roli, gromić je mogła tylko wzrokiem, poczem, przybierając odpowiednią pozę, odrzekłem:

— Współczuję z paniami, bo i ja jestem amatorem kawy, wprawdzie czarnej, ale zato lekko rumem zakrapianej, czasem zaś kapucynka przyrzekam, że dołożę wszelkich starań, aby szanowne panie nie były ukrócone w swych najświętszych prawach. Jeśli będzie potrzeba, to pojadę nawet do Wiednia i pomówię w tej sprawie z ministrami, a oni liczą się z mem zdaniem. Choćbym zresztą nie chciał, muszę się tem zająć ze względu na mą kochaną Weronisię, która także lubi kawę i urządza od czasu do czasu popołudniowe przyjęcia...

— Wiemy, wiemy! — zawołały chórem — Znaną jest w całem mieście wasza staropolska gościnność.

— Wprawdzie ostatni raz śmietanka była zwarzona, a babka z zakalcem... — przerwała jedna z deputatek, ale Weronisia spojrzała tak jadowicie na nią, iż w tej chwili zamilkła. Tak podobno bazyliszek „fiksuje“ swe ofiary.

— Bez kawy się nie obejdziemy! — rzekła druga z pań — Mój poczciwy Maciuś tak lubi kawę. Zna kochany pan Maciusia?

— Nie, nie mam przyjemności! Zapewne małżonek pani dobrodziejki — ja jej na to.

— Ależ pfe! Skądże znowu... Ja jestem, dzięki Bogu, dotąd panną!... To mój kotek, syn Mruczusi, prawdziwy angora...

— Jeśli potrzeba to i my pojedziemy w deputacyi! — dodała trzecia — Jestem gotowa pojechać do Ojca świętego i użalić się na naszą nieszczęsną dolę. Cóż my jesteśmy winne, że mężczyznom zachciało się wojny? Mamy za to cierpieć?... Albo może udać się do pana Wilsona, niechaj on ujmie się za naszą krzywdą...

— Jabym pojechała nawet do ludożerców! — zakończyła pewna stara panna, o której wiem, że watą sztukuje swe kształty. Dawniej używała i gumy, ale cały zapas zarekwirowano jej podczas ostatniej zbiórki.

— Nie radziłbym, łaskawej pani — ja jej na to — Tam byłaby pani narażoną na poważne niebezpieczeństwo...

— Dlaczego? — zapytała ciekawie.

— Gdyby im tak przypadł na panią apetyt, mogliby panią pociągnąć do odpowiedzialności sądowej za fałszowanie środków spożywczych! — tłumaczyłem, myśląc o owej wacie.

Nie wiem, czy zrozumiała, myślę przecież, że tak, popatrzyła bowiem na mnie wzrokiem takim jakimś melancholijnym, iż mnie samemu, aczkolwiek łatwo nie ulegam wzruszeniom, jakoś na chwilę słabo się zrobiło.

Koniec końców deputacya odeszła odemnie zadowolona, a i ja byłem kontent, że już poszła. Dowiedziałem się prywatnie, że uchwalono jednogłośnie, gdyby interwencya moja na coś się zdała, to jest, gdyby zażegnano brak kawy, kupić mi z ogólnych składek honorowe spodnie elektryczne, o których pisał *Kuryerek* w numerze 172.

Należą one do owego tysiąca sześciuset wynalazków, przedłożonych do patentu w angielskiem ministerstwie wojny, a choć przeznaczone są wyraźnie dla żołnierzy w rowach strzeleckich, nie jest wykluczonem, że może w nich chodzić także i całkiem ordynarny cywil, taki, jak ja. Spodnie te, elektrycznie ogrzewane, a gorąco polecane przez wynalazcę (nadają się i dla lotników i automobilistów), sporządzone są z wełny, przetykanej delikatną siatką drucianą, połączoną z małą bateryą elektryczną, pomieszczoną w małej kieszeni przy pasku. Jeden nacisk i mamy ciepło, drugi, robi się chłodno. Wogóle w tych regionach można będzie regulować temperaturę według upodobania. Na zimowe czasy, gdy grozi nam brak węgla, tego rodzaju spodnie to znakomity nabytek, sądzę, że instytucye nasze dobroczynne powinny się już teraz zająć ich fabrykacyą na wielką skalę.

Takiemi spodniami można będzie otrzeć łzy niejednemu nieszczęśliwemu, bo jest to wynalazek prawdziwie epokowy... Ale może Anglia nie będzie chciała zdradzić tajemnicy mocarstwom centralnym.

W lecie tylko nie radziłbym używać tego rodzaju garderoby, wiadomo bowiem, że pioruny lubią uderzać w przedmioty metalowe, łatwo zaś mogłoby się zdarzyć, że cielesna powłoka, ukryta w „grzejących“ spodniach, nie zniosłaby zbytniego elektrycznego napięcia.

W tym samym numerze *Kuryerka* jest mowa także i o filantropijnym bagnecie dla wojska, nie mającym ostrza i końca, nie zagłębiającym się też w ciało wroga. Gdy dotknie piersi, rozdziela się na dwa ramiona i obejmuje przeciwnika, jak obcęgami, równocześnie zaś doznaje on wrażenia, że ściska go jego żona lub narzeczona, wobec czego nie stawia oporu, lecz daje się swobodnie odprowadzić do niewoli. Sufrażystki angielskie zaopatrzyły się już podobno w takie bagnety.

Istotnie bajeczne wynalazki, zawdzięczamy je zaś tylko wojnie i to jest jedna jedyna jasna jej strona.

Smutną była dusza moja, gdym siadał do biurka, smutną jest też i kronika, ale na przyszły raz, obiecuję solennie, poprawię się z gruntu. Niechaj więc Czytelnicy czekają cierpliwie, a tymczasem niech płacą prenumeratę, nieco podwyższoną. Długo biliśmy się z myślami, podnieść ją, czy nie, musieliśmy się wreszcie zdecydować, gdyż absolutnie „nie da rady!“ W żaden sposób koniec nie chciał się zejść z końcem, a tu z dnia na dzień wszystko coraz droższe i droższe! Inne pisma dawno to już uczyniły, my dziś dopiero idziemy w ich ślady.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył X. Y., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, podadzą nam uroczystość kościelną, obchodzoną niedawno w całym świecie.

□ — — —
— □ — —
— — □ —
— — — □
— — — □
— — — □
— — □ —
— □ — —
□ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Gwałtowny wicher. 2 Materya jedwabna. 3 Miejsce w teatrze. 4. Postać żeńska w jednym z utworów Słowackiego. 5 Kawał drzewa. 6. Imię męskie. 7 Gatunek żelaza. 8 Minerał. 9 Kalif.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

I prałat piekł jeszcze cioci ornat

Kwadrat magiczny.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Litery tak poprzestawiać, aby utworzyły cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a l l o
r r ś u
z z ż ż

Znaczenie wyrazów: 1. Roślina lekarska 2 Miejsce w teatrze. 3. Przeźroczysta materya. 4. Miasto w Dalmacyi.

Przysłowiówka.

Ułożył A. Marczyński, Kraków.

Z każdego przysłowia wyjąć, idąc pięć razy z góry na dół, po jednej literze i ułożyć z nich nowe przysłowie.

1) Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło.
2) Nie ciąg psa za ogon, to cię nie ukąsi
3) Niedaleko pada jabłko od jabłoni
4) Nie graj Wojtek, nie przegrasz portek
5) Nie mała mądrość mówić, największa czynić
6) Nie dawaj dyabłu palca, bo za rękę chwyci.

Trójkąt magiczny.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a c c
i o o s
s s t
t t
t

Znaczenie wyrazów: 1 Angielski poeta i powieściopisarz. 2 Dopływ Dunaju 3 Owad 4. Zaimek 5 Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Basza Gogo kładzie żwawo w paki to grono, bo i ta gwiazda kona.

Trójkąt magiczny.

Ułożyła M. Dyhdalewiczówna, Sieniawka

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko jednego z bohaterów z pod Rokitny.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Inaczej nauczyciel. 3. Narzędzie szewskie. 4 Miasto w Tyrolu. 5. Pojazd. 6 Zwał śniegu. 7. Miasto we Francyi. 8 Narzędzie krawieckie. 9 Narzędzie rolnicze. 10 Przyimek. 11. Samogłoska.

Kwadrat magiczny.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym

a a d g
g l l n
n o o o
y y y ż

Znaczenie wyrazów: 1 Imię żeńskie 2. Miasto we Francyi 3 Inaczej wesele 4 Roślina lekarska.

Zadanie do wypełnienia.

Ułożyła M. Dyhdalewiczówna, Sieniawka.

W miejsce kresek wstawić odpowiednie spółgłoski, aby powstało znane polskie przysłowie.

- - y - y - ó - - a - ie - - a - a - a, - o - y - ó - - i - ie - - a - a - a.

Bilety wizytowe.

Ułożył J. Przecławski, Podgórze.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

KARL EIN

ARCHIAS TYP.

ZEN. IN. RZADKI.

ANTENIMSKI

U N DYBOWICZ.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 25.

Łamigłówka literacka: Ibsen
Renan
Rousseau
Erazm Dez
Darwin
Ezop
Nietsche
Tasso
Amicis

Kwadrat magiczny:

E b r o
b r u k
r u d a
o k a p

Szarada: Komenda.

Logogryf:

F a r f u r a
r o ś w i t a
y p s i l o n
d y w i z y a
e k s p o r t
R o k i t n a
Y u k a t a n
k w a t e r a
c h o d a k i
h e r o i z m
o s z c z e p
p r o t e s t
i l l u z y a
n i e w o l a

Zadanie do przestawienia: Hołota to się czubi, to się kocha.

Grzebieniówka:

N	o	w	o	ś	c	i	I	l	l	u	s	t	r	o	w	a	n	e
o		e		c		n		i		n		e		s	,	h		l
t		s		i		w		v		i		r		t		o		e
a		t		e		e		e		w		r		r		n		u
r		f		r		n		r		e		o		o		a		t
y		a		w		t		p		r		r		s		m		e
n		l		n		a		o		s		y		ł		e		r
s		i		i		r		o		a		z		u		n		y
z		a		k		z		l		ł		m		p		t		a

Rózne nanie: Lulek + racya + Andorra + postelenie + kamień + Kanał panamski = Lucyan Siemieński.

Zadanie do przestawienia: Jak się człowiek przyłoży, to mu i w piekle niezgorzej.

Bilety wizytowe: Mechanik Alchemik. Inspektor. Sternik. Historyk

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J Buczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Krakow, W. Krzywicki Praga K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, Z. Szymanek Nowy Sącz

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Domagalska, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Dr. Leon Władysław Biegeleisen: **„Rozwój gospodarczy nowoczesnej wsi polskiej".** Tom I Kraków 1916, XV. 504

W handlu księgarskim ukazał się świeżo pierwszy tom dzieła dra L Biegeleisena. W przedmowie zaznacza autor, iż podstawę jego badań stanowiły stosunki gospodarczo-społeczne przed wojną, więc w normalnym toku gospodarstwa narodowego, uwzględnione jednakże zostały zmiany wywołane wojną. Autor zajmuje się stosunkami panującymi na ziemiach polskich, przeprowadzając jednakże szczegółowo porównanie z zachodnio-europejskimi stosunkami na podstawie materyału zebranego zagranicą.

Tom pierwszy poświęcony jest kwestyi roboczej, tak jak się ona dziś w rolnictwie polskiem i zachodnio-europejskiem przedstawia.

W opracowaniu kwestyi roboczej znajdzie Czytelnik część poznawczą, poświęconą faktycznym stosunkom w tej mierze, oraz część, obejmującą środki zaradcze przeciw brakowi sił roboczych, próbę więc rozwiązania kwestyi roboczej ze stanowiska produkcyi rolniczej, a z uwzględnieniem postulatów robotniczych. Tom pierwszy obejmuje nadto obszerny wstęp, poświęcony metodom uzyskania i ocenie materyałów faktycznych, stanowiących podstawę pracy, oraz część szczegółową mieszczącą w sobie analizę gospodarstw włościańskich, których opisy i budżety zużytkował autor w swej pracy. Przy końcu tego tomu zawarte są tablice statystyczne, zawierające podobnie jak i część szczegółowa materyały własne, dotąd nie ogłoszone i nie zawarte w statystyce urzędowej, a obejmujące około sto gospodarstw włościańskich, różnej kategoryi własności z różnych okolic kraju.

Tom drugi, którego druk już się rozpoczął i który ukaże się w handlu księgarskim z początkiem jesieni, obejmować będzie stosunek gałęzi hodowlanej do uprawy ziemiopłodów na tle problemu drobnej i większej własności, przedmiotem tej części jest ujęcie na podstawie materyałów faktycznych, zwrotu gospodarstw włościańskich ku gałęzi hodowlanej, co charakteryzuje współczesną wieś na Zachodzie i w Polsce. Przedmiotem dalszych części drugiego tomu jest kwestya obdłużenia własności ziemskiej, dalej ekspanzya drobnej własności, objawiająca się w parcelacyi wielkiej własności ziemskiej, w dzierżawie, oraz włościach rentowych. Osobna część poświęcona jest badaniu zaniku średniej i większej własności chłopskiej w perspektywie historycznej od czasu przyłączenia Galicyi do Austryi. Wreszcie w zakończeniu mowa jest o roli średniej i większej własności chłopskiej w związku z całokształtem stosunków gospodarczych i społecznych oraz o zadaniach narodowej polityki agrarnej wobec ustroju własności ziemskiej.

Książka jest do nabycia we wszystkich księgarniach, tom pierwszy można nabyć osobno, lecz cena za dwa tomy jest niższa od ceny za pojedyncze tomy. Zamówienia można także zwracać do składnicy wydawnictw N K N Gołębia 20 lub do Instytutu ekonomicznego w Krakowie, Krowoderska 26

Kącik humorystyczny.

Ach, te podlotki.

Czternastoletnia Mania była raz w teatrze. Na drugi dzień ciotka pyta ją, czy się dobrze bawiła i jak się jej sztuka podoba.

— Ach, cudownie! — woła zachwycony dzieciak — Niech sobie tylko ciocia wyobrazi! W tej sztuce każda mężatka ma aż dwóch kochanków!...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego